



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszu” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebora i Spół. kwart. 5 marek.

OD REDAKCYI.



W przyszłym kwartale zamierzamy rozpocząć druk odpowiedzi na nasz „Kwestyonaryusz panieński,” który wzbudził żywe zajęcie w szerokich kołach naszych czytelniczek; odezwało się głosów wiele, śmiałych i szczerzych,—pragnąc wszelakō zebrać jak najwięcej materiału, podatnego do wniosków w sprawie tak ważnej, przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi do końca miesiąca lipca r. b., i ponawiamy naszą odezwę z uprzejmą prośbą do panien o wzięcie jak najliczniejszego udziału w Kwestyonaryuszu.



PRZYCZYNY I SKUTKI.



IV.

„Pierwsze uczucia matka w sercu dziecka budzi,
„Mistrzowie kształcą uczniów, matki tworzą ludzi.

Z. Krasieński.

Ogólnie wiadomo, iż podstawowym warunkiem doskonałego rozwoju duszy, umysłu i ciała dziecka, jest bezpośrednie obcowanie z przyrodą i to w takim stopniu, że wprost niepodobna wyobrazić sobie, aby wychowa-

nie chociażby najstarsze na bruku miejskim, wśród murów, tamujących przystęp światła i powietrza, w atmosferze przesiąkłej gorączkowymi zabiegami o chleb powszedni, o efemeryczne znaczenie, blask, sławę, wyniesienie się nad innych przy pomocy złota, blagi i fałszu, aby, powtarzam, wychowanie w tak nieprzyjanych warunkach spełnić mogło to wszystko, co jest jego zadaniem.

Najgorliwsze usiłowania nie zbudzą pewnych stron duchowych, które tylko pod wpływem precudownej mistrzyni—przyrody, zadrgałyby życiem, wydając czarowne dźwięki, a wśród przytłaczającej atmosfery miasta zamierają przed narodzinami swemi, pozbawione nieodzownych dla rozwoju swego warunków. Wprawdzie, powyższe twierdzenie dałoby się napozór odeprzeć dowodzeniem np., że dzieci oddane pod nieograniczoną opiekę owej precudownej mistrzyni—przyrody, wychodzą na tej opiece pod względem duchowym jak najgorzej, lecz na ten wynik niepożądany składają się odwieczne, wrogie czynniki, wytworzone przez anormalne warunki społeczne, jak również i to, że przyroda w tym wypadku potrzebuje umiejętnego tłumacza i sojusznika w osobie rozumnego wychowawcy.

Kiedys, może w blizkiej przyszłości, gdy spadną łuski z dotkniętych dziś ogólną kataraktą oczu ludzkości, gdy jasnym i prostym stanie się to, co dziś jest tak trudnem do zrozumienia, t. j. iż: prostota, prawdziwość i naturalność są dla duszy ludzkiej tak niezbędne, jak zgubne są dla niej antytezy tychże

przymiotów: sztuczność, udawanie i pozowanie od kolebki niemal aż do grobu, zmieniają się napewno dzisiejsze warunki wychowania młodzieży.

Pensjonaty, wychowujące naszych synów i córki, tonąc będą w zieleni ogrodów, pól i lasów, zdala od rozkładowych wyziewów miasta, a działwa w bezpośrednim zetknięciu z przyrodą, czerpać będzie zadatek zdrowia duchowego i fizycznego na żywot cały, nie kępowana tysiącnymi względami towarzysko-społecznymi, trzymającymi dziś młodą duszyczkę dziecka od powicia w swych więzach, jak pająk w sieci swą ofiarę, wysysającymi z niej powoli, lecz nieubłagane wszystkie jej siły żywotne. *Qui vivera, verra.*

W oczekiwaniu atoli tych złotych czasów, nie należy rąk opuszczać i czynić potrzeba w tym kierunku, co się tylko da i co możliwe, wyzyskując każdą sposobność zaznajomienia dzieci z naturą, poddania ich dusz pod jej wpływ potężny.

Mnóstwo dzieci wraz z matkami, opiekunkami, opuszczają obecnie mury miejskie, udając się na wieś. Czegóż więcej potrzeba? Będą miały nad główkami niebo błękitne, szum borów, woń łąk i pól, śpiew ptasząt, co-krok, co spojrzanie, to nowa niespodzianka!

Proza życia wraz z jego najcięższą poezją, żyją tam z sobą niby dwie siostry i z mgieł tęczowych utkane szaty drugiej, ocierają się bez wstrętu o zgrzebną sukienkę pierwszej. Kto może, niech czasu nie traci, zabiera działwę i opuszcza mury miejskie.

A tam, pośród łąk i pól, niech dusza dziecka zespoli się z przyrodą i pokocha ją, a wówczas ani cierpienie i zawody, ani burze późniejszego żywota, miłości tej wydrzeć z serca nie zdołają.

Mimowoli przyszły mi na myśl słowa poety:

„Mam chore serce w łonie,
„Na słońce je wyniosę,
„Niech z bżów wypije rosę
„A z serca lzy...”

Nie zawadzi jednakże rzucić okiem na sposób w jaki najczęściej dzieci nasze zaznajamiają się z przyrodą i jej tworam, przyjechawszy na wieś. Przedewszystkiem, zaopatruje się je przed wyjazdem, w siatkę na motyle i pozwala męczyć na wszelkie sposoby biedne owady. W jednym z letnisk, bogato zazwyczaj zaludnionem, widziałam nieraz na werandzie rodzinę, pochyloną nad stołem, przy którym siedział najwyżej dwunastoletni chłopak, zajęty wbijaniem motyli na szpilki.

Z jakimż zajęciem gromadka młodszych dzieci przyglądała się konającym owadom, ile tam było okrzyków pełnych zapału, gdy śliczny żałobnik chcąc uciec przed bolesną operacją, poderwał się ostatkiem sił z pudełka!

Z jakąż namiętnością go ścigano! W parę dni potem, spotkałam te dzieci na łące i wdałam się z nimi w gawędę.

I cóż się okazało?...

Felusiowi sprzykrzyła się zabawa motylami, więc oddał zbiory swoje młodszemu rodzeństwu i oczywiście zniszczono je doszczętnie. Zatem dzieci wzięły tylko kilka lekcji okrucieństwa całkiem bezcelowego, bo o ile w celach naukowych byłoby to usprawiedliwione, o tyle dla prostej zabawki — potworne.

Nad Pilicą, gdzie w urwistych jej brzegach gnieździło się mnóstwo jaskółek, widziałam mającego pretensję do inteligencji ojca, który w obecności dzieci, burzył kijem gniazda, rozpaczliwie krążących nad nimi ptasząt.

O przecież rodzice najpierwsi powinni wytłumaczyć dzieciom wstrętą bezcelowość i okrucieństwo takiej zabawki.

Jako nagrodę za otrzymaną promocję, kupują np. rodzice synowi osiołka.

Ale nikt nie uważa za stosowne powiedzieć dziecku, iż nie należy bić zwierzęcia, męczyć nad siły, a natomiast pamiętać trzeba, aby w porę otrzymał pożywienie i wypoczynek. Zazwyczaj osiołek przeznaczony do zabawy dzieciom, krzywdzony jest bez litości przez liczną gromadę swywołników. Wrodzonym uporem zyskuje tylko podwójną ilość batów, nierzadko obcasz siedzącego na nim chłopca, uderzają ze wszystkich sił w chude jego boki.

Biedne zwierzę nie ma nigdy odpoczynku.

Jeżeli zsiądzie z niego Jasio, wsiada Franio, po Franiu Adaś, po Adasiu Antoś, niekiedy i dwóch naraz.

Rodzice zadowoleni, iż dzieci nie mącą im spokoju, radziby dzień cały widzieć swe pociechy na grzbiecie osła.

Tymczasem, jeśli ofiarujemy dziecku ptaka, psa, lub jakiegokolwiek żywe stworzenie, pamiętajmy przedewszystkiem obserwować przez czas pewien, jak się dziecko z niem obchodzi, czy o potrzebach jego pamięta. Dziecko powinno wiedzieć, iż zaniedbywać jakichkolwiek przyjętych na siebie obowiązków — nie wolno.

Dzieci, których nikt nie uczył i nie wpajał zamięłowania przyrody, idąc za popędem swych gorszych instynktów, przeciw którym nikt nie oddziaływa, stają się tępicielami wszystkiego, co im się pod rękę nawinie. Ulubioną rozrywką kilkuletniego chłopca jest uganie się z biczykiem za psem podwórzowym i bicie go, ile wlezie; szczucie psem kota, rozpędzanie i gonienie, zawsze z nieodłącznym biciem, małych kurcząt, gąsiąt i t. p., wybieranie piskląt z gniazd, strzelanie do ptaków, obrywanie skrzydeł i nóżek konikom polnym i t. p.

I w roślinnym świecie dzieje się to samo, co w zwierzęcym: tępienie na wszystkich punktach! Łamanie gałęzi i młodych drzewek, odzieranie ich z kory, bezmyślne zrywanie kwiatów, by za chwilę leżały zwiędłe pod stopami, traktowanie zboża i t. p.

Czyja w tem wina?

Z pewnością nie małych szkodników, bo któż ich kiedy nauczył, że ziemską cząstka ich istoty, to tylko ogniwo w nieskończonym łańcuchu tworów przyrody.

Nie na podkładzie śmiesznego sentymentalizmu opiera się miłość przyrody, lecz na sile i zdolności odczuwania jej piękna, na wrażliwości.

Niestety! Obecnie, w tej epoce kultu dla przeróżnych bóstw fałszywych, między innemi i dla sztucznego piękna, zatraciliśmy zdolność odczuwania cudów natury.

Więcej nas dziś zachwycą kwiat z atlasu lub aksamitu umiejętnie naśladowany, sztucznymi bodaj brylantami błyszczący, niż świeża, wonna lilia czy róża brylantami rosy operlona. Milszą dla wydelikaczonego powonienia jest woń perfum wytwornych, niż zapach z rodzimych pól i łąk płynący.

A wszak dzieci nasze, to my sami!

Przyjaciół młodzieży C. Wagner w znakomitem dziełku p. t. „Młodzież“, rozdział cały poświęca nawoływaniu młodzieży do pracy na roli, jako jedynej, przywracającej siły, wyrabiającej sprężystość ciała, krzepiącej znużony organizm.

„Trzeba obcować z ziemią — pisze — hartować siły na jej łonie. Młodzieży zmęczona, wyczerpana nauką, osłabiona i zdenerwowana pobytem w mieście, uciekaj w pola! Rozmawiaj z wieśniakami, pracuj z nimi! Ucz się prowadzić pług, władać motyką, kosą! Po dniach kilku dowiesz się mnóstwa nowych, dziwnych rzeczy, dowiesz się, ile trudu kosztuje uprawa chleba, zjadanego przez tylu niewdzięcznych. Nie tkniesz go więcej bez głębokiego wzruszenia, pamiętając, iż człowiek włożył tu swą pracę, a Bóg słońcem go ogrzał. Rolnik, uprawiający ziemię i rzucający w nią ziarno, wyda ci się symbolem ludzkości, która sieje i ufa. Patrząc na niego, jeśli życie zdawało ci się czerem i pustem, powiesz razem z poetą:

„Widać, jak niezachwianie wierzyć musi
„W pożytek dni upływających w pracy!”

Choć niejasno jeszcze, poczujesz świętość pracy, poważną głębię życia i zobaczysz ostatecznie promienie jasnego słońca:

„Wspaniałym, niebotycznym ruchem siewcy
„Na rolę rozrzucając ziarno...”

Uczyn tak młodzieńcze i wierz mi, że za nim dałem ci tę radę; sam jej skutek na sobie stwierdziłem.

Skosiłem niejedno pole owsa i pszenicy, ogrzewany całymi dniami przez słońce sierpniowe, kołysany powolnym rytmem kosy lub sierpa, które każdym uderzeniem kładą stosy kłosów żółtych i ciężkich; słuchałem śpiewu przepiórek w głębi pól po za złocistymi falami zbóż i gajami, widniejącymi w oddali. Słuchałem szmeru głosów ludzkich, myślałem o ogniskach miast wielkich, o problematach naszej epoki, wtedy wszystko rozumiałem lepiej. Tak! Jestem przekonany, że jednym ze znakomitych lekarstw na nasze cierpienia, na nasze choroby społeczne, umysłowe i moralne, byłby powrót do ziemi i przywrócenie do czci i sławy prac większych.

Jednocząc się całą duszą z poglądami autora, zwracamy uwagę matek na nieobliczone korzyści, jakie dzieci nasze z wycieczek na wieś odnieść mogą i powinny. Umiejmy tylko nimi kierować!...

Wanda Grot-Bęczkowska (Korotyńska).



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Spodziewała się wielkiego wrażenia, ale on odpowiedział po prostu:

— Wiem.

— Od kogo? — spytała ze zdziwieniem.

Jur nie mógł jej powiedzieć, że wiedział o tem pierwej, niż ona — od Zygmunta; więc rzekł wymijająco:

— Siostra moja. była wczoraj u pani Tomaszowej Nabrzeskiej.

— A... I cóż jej opowiadano?

— Powiedziano jej rzecz bez szczegółów i bez komentarzy.

— Ale w jakiej mniej więcej formie?

— Że niezgodność usposobień doprowadziła do ostatecznej sprzeczki, która się zakończyła zerwaniem.

Mewa odetchnęła. Zygmunt był dyskretnym, i ona może mówić, co chce. Więc zapytała śmiało:

— Czy pan znajduje, że dobrze zrobiłam?

Jur spojrział na nią ze zdziwieniem. Dlaczego ona tak mówi, pomyślał, jakby odegrała w tem rolę czynną?... Ha! słabość kobieca... Boli ją dotknięta miłość własna. I odrzekł dwuznacznie:

— Zdaje mi się, że nie mogła pani inaczej.

— Stanowczo nie mogłam! — potwierdziła z żywością. — Przekonałam się ostatecznie, do jakiego stopnia nie rozumiemy się; a przytem powiedział mi parę rzeczy tak niedelikatnych, że nakoniec pękła przeciągnięta struna,

— Więc, co okoliczności związały — okoliczności rozwiązują — i pani jest wolną. Czy to źle?

Spojrzał na nią z pewną ciekawością, a ona wzięła to za wyraz żywszego zajęcia — i wnet się nastroiła na ton uczuciowy.

— Czy to źle być wolną?... — zapytała przeciągle, z powłóczystem spojrzeniem. — Chyba pan nie pamięta, co mówiłam — wtedy?

— Właśnie dlatego, że pamiętam, pozwoliłem sobie zapytać. Skoro więzy ciążyły, — musi być lekko, gdy zerwane; czy tak?

— Ach, tak!... — potwierdziła z westchnieniem — i jakby odrzucając coś krępującego, strzepnęła białymi rączkami, z których poprzednio — niby machinalnie — zdjęła rękawiczki.

— Więc ostatecznie dobrze się stało, — zakończył; a ona uśmiechnęła się nieznacznie — i pomyślała:

— Jak to zabawnie, że on tak wierzy wszystkiemu, co mu powiem!...

Spojrzała z upodobaniem w czarno-złote oczy, zbliżka w jej twarz patrzące — i przejmując się swoją rolą, mówiła tym samym marzącym półszepem, który już był w użyciu w japońskim kiosku:

— Dobrze się stało... i dobrze mi jest, jak ptakowi, który nagle poczuł, że mu dawno obcięte skrzydła odrosły... Wolno mi lecieć w obłoki — czy śmigać nad głębiną — czy bujać się na gałęziach, — a nie wolno nikomu kontrolować poruszeń mojej wewnętrznej istoty... Mam prawo marzyć — pragnąć — kochać...

Spuszczając się za drzew konary tarcza słoneczna rzuciła ciepłe odbłaski na jej migoczące z za rzęs przymrużonych oczy i rozchylone usta wilgotne; na piersiach jej wiązanka leśnych goździków podnosiła się i opadała przyspieszonym tempem, a smukłe palce rąk opuszczonych na kolana spletały się i rozpletały nerwowym ruchem, jakby coś ująć, coś przyciągnąć chciały.

Ale Jur milczał.

— Dyskretny — dumny — czy nieśmiały? — pomyślała.

A Jur myślał w tej chwili, jak łatwoby było przysunąć się bliżej jeszcze — i ująć mocno te pieszczone rączki; ale co dalej? Wywiązać się mógł z tego tylko jakiś stosunek połowiczny, nie prowadzący do żadnego stanowczego rezultatu.

Ale wyrazem tego stosunku byłaby wymiana całego repertuaru odnośnych wrażeń, spojrzeń, uśmiechów, prawdopodobnie pocałunków, — a ta dziewczyna jest niezaprzeczenie ponętna, jak rzadko — i chyba mogłaby odurzyć do niepamięci... A on pragnął obecnie tak, jak się pragnie znieczulenia bolącego zęba, czegoś, coby w nim przygłuszyło jedną myśl rozżaloną i rozgoryczoną, coby zatępiło jedno ciągle przed nim unoszące się przejryste, powiewne, nieuchwytnie widziadło, które oplatało mu serce siecią blado-złotych włosów, cienkich, jak ostrza brzytwy i do krwi zaciśniętych.

Mewa mówiła dalej, modulując głosem, jak molodya:

— Tylko w słońcu swobody mogą się rozwinać kwiaty miłości, mogą dojrzeć owoce szczęścia... Czy zna pan delikatny, pachnący kwiatek, zwany dzienną ozdobą, który się na noc stula, a na dzień otwiera? Serce moje

jest, jak ten kwiatek: za ledwie świt błysnął, ono listki rozwija, wychyla się do światła, i czeka ciepłego tchnienia, które wywoła dreszcz rozkwitu...

Jur nie przestawał bawić się podjętą z ziemną wąską rękawiczką, zsunawszy brwi w zamysleniu. Mewa rozplotła ręce — i dotykając jego ramienia, szepnęła:

— Zbudź-że się, zaklęty królewiczu!

Jur poruszył się nareszcie. Wyciągnął rękę, aby ująć smukłe paluszki, powiódł wzrokiem — czy niema nikogo w pobliżu — i nagle wyciągnięta jego ręka opadła bezwładnie.

Po za ostatnimi drzewami parku, ścieżka wiodącą wzdłuż łąki do Dziecina, wiotka postać sunęła lekko i cicho, jak cień, rysując się delikatną sylwetką na złoto-różowym tle zachodniego nieba. Twarz, jak płatek lilii bielejącą zdala w cieniu brązowej kapotki, zwróciła na chwilę w stronę brzozy kłody w leszczynie, ale nie zmieniła kierunku, nie zwolniła ani przyspieszyła kroku, tylko równo i prosto szła dalej, aż znikła za gąszczem zagajnika, tak cicho i lekko, że jej nawet nie spostrzegła Mewa.

Jur ścisnął zęby.

— Nie cierpię tej dziewczyny! — zawołał w głębi ducha. — Musiała mi przecież dostrzedz tutaj — przy tej — a jednak ani drgnęła, tylko ze swoim nieznosnym spokojem poszła dalej swoją nieznosną prostą drogą... Nie cierpię tej dziewczyny!...

I wskutek tej gwałtownej nienawiści Mewa, a z nią świat cały zniknęły mu z przed oczu, a całe serce wypełnił ostry ból, całą duszę przesłonił niknący cień nieuchwytnego widziadła.

Mewa spojrzała na jego twarz pobladałą i wzrok nieruchomy, a biorąc to za wyraz walki woli z uczuciem, pochyliła mu się na ramię i wyrzekła jeszcze pieszczotliwiej:

— Jakie słowo wymówić, żeby królewicz ocknął się z zaklęcia?

Jur podniósł się, stanął przed nią sztywny i chmurny i rzekł:

— Pamięta pani naszą rozmowę w Dziecinie, w dzień instalacji rodzeństwa pani?

— Pamiętam; dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Przypomniałem panią wtedy do dziecka, wyciągającego rączkę do jagód belladony, a pani kazała mi obiecać, że w podobnych razach będę panią ostrzegał. Więc teraz ostrzegam...

Uklonił się i odszedł, a ona podniosła brwi w górę — i patrząc za nim, kombinowała w myśli:

— Cóż to jest właściwie?... Przypuszcza może, że chcę z niego zazartować?... E, nie! zbyt siebie pewny. Więc co?... Aha! chce mnie doprowadzić do większych ustępstw... Wytrawny! No, ale i ja także coś umiem... Do widzenia!

Rzuciła ręką pocałunek w stronę ścieżki za parkiem i odbiegła w przeciwnym kierunku.

Jur tymczasem siedział za parkiem na polnym kamieniu, przy zakręcie dróżki, zwracając ku plebanii, patrzył chmurnymi oczyma na pożar czerwono-złoty dopalający się na zachodzie — i czekał na Klarę. Ona będzie wracała tędy z Dziecina do domu, a on ją

przeprowadzi przez łąkę, po miedzy, do samej furtki — i będzie jej mówił o kobiecym wdzięku i serdecznym cieple Mewy, aby widzieć, jak jej krew z ust bledniejących ucieka, — aby rozkoszować się przewiadczeniem, że ona go kocha, i truć się myślą, że nigdy wyznać mu tego nie zechce...

Wiesć o zerwaniu małżeństwa Mewy rozszła się bardzo szybko po dalszej i bliższej okolicy. Pani Wszelaczyńska nie omieszkła puścić jej w obieg ustnie, listownie, a nawet telegraficznie, z dodatkiem domysłów i komentarzy, które przebiegając z ust do ust urosły, jak lawina, i naturalnie przeszły granice rzeczywistości. Fryd Grüber, którego wymieniano, jako przypadkowego świadka jakiegoś potwornego faktu, pamiętny na pogroźkę Zygmunta — chciał być dyskretnym, i na pytania ciekawych odpowiadał, że mężczyzna z dobrego towarzystwa powinien szanować reputację młodej osoby. Ten sposób bronienia sprawy jeszcze ją pogarszał, domysły miały nieograniczone pole i skończyło się na tem, że już w parę tygodni po wypadku Mewa była na prawdę fatalnie skompromitowana.

Tak krążąc — trąbiąc — i rosnąc, wieść doszła do... żydków gubernialnego miasta, pomiędzy którymi byli głównie kredytorowie pana Wieloleckiego.

Żydki pożyczają pieniądze nie tylko na materialne hypoteki, ale także na rozmaite ewikcyjne natury abstrakcyjnej, i nawet dosyć lubią te ostatnie, bo im mniej dotykalna gwarancja, tem wyższe w zamian za ryzyko procenta. Obrywin oddawna już przedstawiał bardzo niepewną gwarancję; ale żydkowie wiedzieli, że Obrywińska panienska należy do delikatnych kasków, za które niejedni głupi goj gotów dużo zapłacić. I nie mylili się w rachubie, bo Zygmunt już kilka razy za przyszłego teścia poręczał — i akuratnie wypłacał. Przytem Wielolecki zwykł był przy zaciąganiu długów komunikować, że jego przyszły zięć, jako człowiek bogaty, a podlegający manii utrzymywania dziedzicznych majątków w rodzinie, natychmiast po ożenieniu się pospłaca długi teścia wraz z procentami. Zresztą kredytorowie i sami przekonani byli, że starzy Nabrzezcy nigdy by nie dopuścili do zlicytowania fortuny swej synowej. Dla tych to powodów wiadomość o zerwaniu małżeństwa Mewy — wraz z kompromitującymi dodatkami — poruszyła mocno gubernialnych kapitalistów. Panicz z Nabrzeżan nie będzie już miał racji oczyszczania Obrywina, a Obrywińska panienska nie złapie już drugiego głupiego goja; bo głupi goje lubią wprawdzie delikatne panienski i stare gniazda dziedziczne, ale nie mają zwyczaju żenić się z panienkami, o których ludzie paskudne rzeczy rozpowiadają.

Wynikiem tych żydowskich kombinacji było, że wszyscy kredytorowie pana Wieloleckiego porozumieli się z sobą bezzwłocznie — i do pałacu Obrywińskiego przyleciała wieść Hiobowa, — jako Obrywin z przyległościami wystawiono na licytację.

Wielolecki próbował wszelkich środków ratunku, ale nie zrobić się nie dało. Pozosta-

wała jedna tylko droga wyzyskania po spłaceniu długów czegośkolwiek dla siebie, — a tą była sprzedaż Obrywina z wolnej ręki.

Że jednak trzeba było działać śpiesznie, a nabywcy z dużą gotówką nie zjawiają się na pierwsze zawołanie, pan Wielolecki był wielce uradowany, gdy z propozycją nabycia Obrywina wystąpił stary Fryc, ojciec Fryda Grübera.

Skoro tylko katastrofa Wieloleckich stała się w okolicy wiadomą, stary Fryc miał długą rozmowę z synem, poczem po raz pierwszy w życiu zjawił się w Obrywińskim pałacu.

Ponieważ jednak cały jego kapitał wraz z pożyczką, którą mógł zaciągnąć w banku, wystarczylby tylko na spłacenie długów, Wieloleckiemu zaś nie o dłużników chodziło, lecz aby z tego rozbicia jak najwięcej ocalić dla siebie, wynaleziono następującą kombinację:

Obrywin z rezydencją i przyległościami przechodził na własność Grübera za sumę równającą się obciążającym majątek długom; co stanowiło dla starego Fryca wcale niezły interes, tem bardziej, że biorąc długi na siebie, miał nadzieję coś jeszcze wykrecić przy układach z dłużnikami. Dla Wieloleckiego zaś zamiast dopłaty gotówką, pozostawiał nabywca obszerną część dobrych gruntów, leżącą po za parkiem, między Dziecinem a rzeką. Na ziemię tę obiecywał Grüber dostarczyć Wieloleckiemu natychmiast amatorów — i upewniał, że przy rozparcelowaniu jej pomiędzy rekomendowanych przez niego kolonistów niemieckich, będzie mógł wyzyskać do trzydziestu tysięcy rubli.

Kombinacja ta została przez Wieloleckiego zaaprobowaną tem skwapliwiej, że wyboru nie miał wcale, — i wywłaszczony hrabia ze zubożonym fabrykantem uścisnęli sobie ręce na zgodę — a potem pojechali razem na stację kolei, aby zaraz nazajutrz w gubernialnem mieście przystąpić do załatwienia formalności.

Ze stacyi stary Fryc wysłał przez umyślnego długiego list do syna, — i tegoż jeszcze wieczoru Fryd Grüber zjawił się w Obrywinie z delikatną misją przygotowania panny Mewy, oraz dania do zrozumienia, jak wiele ojciec jej zyskuje na zawarciu z jej ojcem dobrowolnego układu, uprzedzającego przymusowe wywłaszczenie.

Delikatna misja musiała powieść się dobrze, bo wracając koło północy do domu, Fryd śpiewał wesołą piosnkę burszowską.

(Ciąg dalszy nastąpi).



GŁOS SERCA.

FANTAZJA.



Smutno raz było nocą ciemną Panu
Na miękkiej chmurce rozwiewnych pościeli,
Jako, że wielą zarządzając światy,
I trosk, i smutków różnych ma niemało.
Daremnie pieśnią przedziwną harmonii
Żalność tę spłoszyć pragnęli anieli,
Chociaż słodyczą samą tchną ich pienia,
Przecie nie dały Panu ukojenia...
Nagle od duchów uskrzydłonych rzeszy

Odbiegł precudny cherub srebrno-biały,
I do stóp Bożych przypadł, drżący cały,
Cherub ze wszystkich sług najmilszy Bogu,
Ze wszystkich sług Mu najwięcej oddany.
Skoń śnieżną oparł na złocistym progu
Pańskiego tronu, stopy Mu ramiony
Oplótł wiotkimi i rzekł głosem, jakim
Do ojca mówią dzieci kochające:

„Panie! Daj ucho z sług Twych najniższemu,
A słowom jego zbytnią daruj śmiałość:
Ja wiem, co Twoją może spłoszyć żalność!...
Oto, gdyś kiedyś, za Twoim rozkazem,
Zstąpił z pociechą tam — na ziemię szarą,
Nagle usłyszał szeleszczącą złotem
Pieśń taką rzewną, tak wdzięczną i czystą,
Żem się zasluchał w niej i zapamiętał
I omal do Ciebie nie spóźnił z powrotem!...
Co noc, gdy ziemia otula się cieniem,
Wszystkie jejienne gwary, szmery, dźwięki
Rwą się ku górze aż pod niebios stropy:
Pieśń ona z serca ludzkiego wprost płynie
I wraz z innemi tu się ku nam wzbija!
Rozkaż — a będziesz ją miał w tej godzinie;
Ona Ci snadniej da smutków niepamięć,
Niż pieśni nasze, wciąż jedne — jednakie!...
Bramy niebieskie każ otworzyć dla niej,
Bo ona godna Twego ucha, Panie!...“
Bóg jeno skinął głową swą łaskawie,
A wnet bram siedem otwarli anieli,
Które przed światem zamykają niebo —
A przez te bramy wpadły głosy ziemi!...
Lecz cóż to? Z oczu Bożych błyskawice
Strzeliły gniewu?... Aniołowie zbledli,
A ulubieniec-cherub zakrył lice
Wstydem płonące dłońmi przezroczemi,
I w łzach przed Panem upadł na kolana...
— „Przecż kłamstwo rzekłeś?“ — surowy głos

[Pana

Zagrzmiał ku we łzach schylonemu słudze:
„Gdzież pieśń, co miała koić moje smutki?
Gdzie czyste dźwięki w tym niesfornym chórze,
Co się tu wdziera przed oblicze moje?...
Co to za wycia, syki, piski, zgrzyty,
Wrzaski i jęki?!... Nadtoś zaufany
W mej łasce, chór ten by wwiesić tu, w błękity,
Sługo zuchwały!...“

— „O przebacz mi, Panie,
Przebacz, bom jeno gorliwością grzeszny!
Pragnąc co rychlej smutek zwać Ci z czoła,
Zbyłem z pamięci, że pieśń serc jedynie
Czar ma potężny, gdy samotnie płynie...
Słyszysz?... O słyszysz — tam — w niebios przed-

[sionku

Ten dźwięk złotemu tak podobny dzwonku?
To pieśń ona!... Jeno, że ją głuszą
Krzyki ambicyi, namiętności, zdrady,
Tryumfów myśli, gdy sięgnie na szczyty,
Bólu, gdy z wyżyn stacza się i — zwątpień...
Zamknąć sześcioro wrót przed temi dźwięki
Rozkaż, o Panie! ostaw jeno siódme,
Którędy płynie głos złotego dzwonka,
Głos, co się z serca człowieczego sączy...
A jeśli wówczas nie znajdzie u Ciebie
Łaski ta pieśń — ukarż sługę Twego!...“

Kiedy się stało, jako mówił cherub
Najmilszy, Bogu najwięcej oddany;
„Prawyś!“ — do niego wyrzekł Pan nad Pany,
„Pieśń serc ludzkich godną mego ucha!...“
I odtąd z wszystkich, wszystkich głosów ziemi
Jednego tylko głosu serca słucha.

Wanda Krasuska.

Sentymalizm w wychowaniu.



Od dość dawna już w wychowaniu naszej młodzieży zapanował chorobliwy zwrot, który ochrzciwszy można mianem sentymalizmu, gdyż cechą jego jest pewna czułościowość, miękkość, która powstrzymuje prawidłowy rozwój wszystkich władz dziecka w ogóle, a w szczególności woli. Brak woli, na który tak dziś wyrzekamy, to niewątpliwie następstwo sentymalizmu w wychowaniu.

Rozpatrzmy ów kierunek, a najpierw zbadajmy, od jak dawna pojawił się u nas? Datuje on jeszcze z czasów kiedy wpływy francuskie zaczęły docierać do naszego kraju, oddziałując na wszelkie objawy życia narodowego. Wtedy to ujrzelśmy w salonach naszych, a nawet wśród skromnych wiejskich dworów, sentymentalne damy, mdlejące przy lada okoliczności i rozczulające się nad Filonami i Justynami — możnaby tedy orzec krótko, że sentymalizm w życiu i wychowaniu u nas zrodził się wraz z sielankową poezją w końcu XVIII wieku. Ów schyłek stulecia, obfitujący w straszne kataklizmy dziejowe, jest zarazem epoką sentymentalnych wzruszeń. Jeszcze Diderot wynalazł owego „homme sensible“, występującego we wszystkich jego komediach sentymentalnych; Rousseau, jakkolwiek w „Emilu“ starał się zwrócić uwagę na potrzebę hartowania ducha i ciała, jednakże w innych swoich utworach hołdował kierunkowi sentymentalnemu. Kierunek ten nie zmienił się nawet wtedy, gdy Rewolucya roztoczyła wszystkie swoje okropności. „Homme sensible“ wylewał łzy nad powieściowymi bohaterami i z zimną krwią ścinał głowy „podejrzanym.“ Na dowód słuszności tych słów przytoczę fakt, że jedyną puszczką literacką po Maracie jest — romans sentymalny. Jaki wniosek należy wyprowadzić z takiego dziwnego zbiegu okoliczności? Oto, że sentymalizm, zarówno w literaturze jak i w życiu jest wynikiem idei mieszczańskich, które coraz bardziej zaczęły się szerzyć w końcu XVIII wieku. Ztąd powstała z czasem zupełnie nowa kultura, — kultura mieszczańska, przeciwstawna dotychczas panującej kulturze szlacheckiej.

Do nas ów kierunek sentymalny zaczął przenikać stopniowo, zaczynając od szczytów, t. j. od dworów pańskich, gdzie szerzył się wraz z francuszczyzną, muszkami i papilotami. Przez długi czas jeszcze niższe warstwy, składające się z uboższej szlachty (o ludzie niema nawet mowy), opierały się tym nowym prądom, trzymając się wciąż dawnych tradycji, nakazujących pewien hart w wychowaniu moralnem i fizycznem. Wychowanie to było w porównaniu z dzisiejszem, nadzwyczaj surowe; polegało ono na przyzwyczajaniu dzieci do prostych warunków życia i do panowania nad sobą. Tradycje wojenne szlachty z góry już orzekały, że większość młodzieży powinna się poświęcić rycerskiemu rzemiosłu, które wymagało wyrzeczenia się wszelkich wygod i oddawania się rozmaitym ćwiczeniom ciała; chłopiec wyrabiał też w sobie śmiałość i przedsiębiorczość i nawykał do pewnej kar-

ności, nie powstrzymującej bynajmniej rozwoju swobodnego, częstokroć nawet wybijającego indywidualizmu. Dziewczyna, chociaż pozostawała w domu, pobierała również surowe wychowanie; karność moralna powściągała nie tylko wszelkie zbyteczne wybuchy, ale nawet dozwolone objawy uczucia; od dziecka kobieta wdrażała się do panowania nad ruchami i mową, ale zato, gdy przyszło do czynu, potrafiła działać rozumnie i energicznie, wykazując nieraz zadziwiający hart woli. Zajmując się gospodarstwem, miała sposobność rozwinięcia swe siły fizyczne, to też zdrowiem i czerstwością dorównywała ówczesnemu mężczyźnie. Bezwarunkowe posłuszeństwo dzieci względem rodziców i starszych, oraz nieograniczone uszanowanie dla tychże, było jednym z kardynalnych warunków dobrego wychowania. Rodzice dla dzieci byli niemal bóstwem, do którego te ośmielały się zbliżać z największym szacunkiem, prawie ze drżeniem. Klementyna Tańska w „Listach o wychowaniu” przytacza przykład młodej mężatki, która przybywszy pierwszy raz po ślubie do rodziców, została przez ojca pocałowaną w czoło, co ją tak wzruszyło, że względu na rzadkość tego wypadku, że aż zemdląca. Pewna zaś, żyjąca jeszcze i zasłużona w piśmiennictwie osoba, opowiadała mi również, że będąc młodem dziewczęciem, w obecności rodziców swoich, bardzo zresztą kochających i kochanych, nie śmiała usiąść, dokąd nie otrzymała od nich na to pozwolenia. Częstokroć despotyzm rodzicielski przekraczał nawet dozwoloną miarę, łagodziła go tylko religia, oraz wrodzona Słowianom łagodność obyczajów.

Ta surowość wychowawców niemniej silnie zaznaczała się w kształceniu młodego pokolenia. Możliwość sądzić, że dążnością szkół i nauczycieli ówczesnych były odstraszenie młodzieży od nauki, a nie zachęcanie do niej. Młodzieniec, który okazywał wytrwałość w nabywaniu wiedzy, dowodził tem samem, że ma silną wolę i charakter. Przeciwwagą tej surowości, a nawet twardości w wychowaniu, stanowiła głęboka wiara, jaką szczepiono w sercach młodzieży, a wynikiem jej było poczucie obowiązków obywatelskich, stwarzające jednostki gotowe zawsze walczyć w obronie ideałów tak narodowych, jak ogólnie ludzkich.

Nikt chyba nie posądzi nas o chęć osłaniania ujemnych stron tego systemu wychowania. Historia, niestety, stwierdziła je najdowodniej, ale tyle razy były one już rozbierane, tyle ów system nasłuchiwał się zarzutów, że warto czasem wspomnieć i o dodatnich jego stronach. Niepodobna np. zaprzeczyć, że w czasach kiedy poczucie obywatelskie jeszcze żywiej tętniło w łonie narodu, jeśli tylko despotyzm rodzicielski nie dochodził do wybryków, graniczących niemal z okrucieństwem, a wiara religijna nie przeradzała się w formułkowość i bigoteryę, wówczas metoda owa wydawała jednostki ze wszech miar niepospolite. Chociaż nie miały najmniejszej pretensji do nazwy nadezłowieka, jednostki te odznaczały się dzielnym charakterem, odpornością moralną i fizyczną, oraz zaprawione były do poskramiania swych namiętności w imię idei. Tak się działo wszakże tylko z jednostkami duchowo silnymi. Słabsze natomiast popadały w nieśmiałość, brak zaufania we własne siły,

a zatem pewnego rodzaju duchowe niedołęztwo, przytem rozwijała się w nich skłonność do kłamstwa i hipokryzji, jako środków samoobrony, jednostki zaś, obdarzone silniejszą indywidualnością, oraz nie uznające moralnego hamulca, buntowały się przeciwko rodzicielskiemu despotyzmowi, co prowadziło nieraz do smutnych starć i wytwarzało owe znane dobrze w naszej przeszłości typy awanturników, warcholów, nie uznających praw moralnych, ani cywilnych, podczas kiedy słabsze indywidua tworzyły cały zastęp pieczeniarczy, służalców, trzymających się dworskiej klamki i gardlujących za panami na sejmikach.

Zbyttna karność i surowość szkolna także miała ujemne skutki. Któż nie słyszał o różnych karygodnych wybrykach i nadużyciach uczniów w szkołach dawniejszych? Zakaz używania niewinnej rozrywki, zmuszanie do ciągłej powagi i powściągliwości, niewłaściwej młodemu wiekowi, wywoływały konieczną reakcję pod tym względem.

* W wychowaniu umysłowem również istniały wielkie braki. Pomijając już tę okoliczność, że niektóre gałęzie nauk, uważane dziś za konieczną podstawę wykształcenia ogólnego, nie wchodziły do planu, same sposoby nauczania były zupełnie wadliwe. Nieznano jeszcze metody pogładowej, która każe postępować zgodnie z naturą dzieciniego umysłu, więc zadawano uczniowi olbrzymią masę do wyuczenia się na pamięć w sposób prawie zupełnie mechaniczny. Nic też dziwnego, że pokolenia ówczesne nie odznaczały się wcale zamiłowaniem wiedzy, którą podawano im w tak odstręczającej formie.

Dzięki reformom Konarskiego oraz działalności komisji edukacyjnej, poglądy na wychowanie zaczęły się zmieniać. Wielcy reformatorzy wychowania na Zachodzie wpłynęli i na naszych wychowawców; mechaniczny sposób nauczania ustąpił bardziej racjonalnej metodzie, opartej na znajomości natury dziecka. Wychowanie weszło na właściwe i zupełnie nowe tory. Szkoły, zakładane przez Komisję edukacyjną były wzorowemi pod każdym względem, świadczy o tem wymownie odezwy cudzoziemców; podręczniki, wydawane przez nią, odznaczały się jasnością, przystępnością i tchnęły duchem obywatelskim. Dziś jeszcze niejeden z nich mógłby być z korzyścią użytym przez światłego pedagoga. Zakłady naukowe w tym duchu prowadzone skutecznie wpływały na powstrzymanie powodzi sentymentalizmu, przybywającej z zagranicy; pastwą jej też stawały się jedynie kobiety, poprzestające na wychowaniu domowem, prowadzonym w bogatszych domach na wzór cudzoziemski.

Sentymentalizm bowiem nie leżał nigdy w charakterze polskim, ale był obcą naleciałością, mianowicie z Francji, gdzie był bardziej sztuczny, konwencyonalny, i z Niemiec, kędy nosił charakter bardziej szczerzy i naiwny. W początkach XIX w. nowa właśnie fala sentymentalizmu przybyła do nas z Niemiec i porwała za sobą chwilowo młodzież najwybitniejszą. Prąd ten, szlachetniejszy i wolny od ekliwoci XVIII wieku, nazwany został w życiu idealizmem, w literaturze zaś romantyzmem, stworzył on Gustawów — idealnych młodzieńców, zakochanych w idealnych ko-

chankach — naśladowców Werthera, ale pod względem wartości moralnej przewyższających swój prototyp. Kiedy mieszczański bohater Goethego zabija się, bo po za zaspokojeniem pragnień osobistych nie widzi nic, dlaczegooby żyć warto, z Gustawa powstaje Konrad.

Przyszły jednak inne czasy; w drugiej połowie XIX wieku nastąpiło nagłe bankructwo idealistycznych haseł, oraz upadek kultury szlacheckiej, natomiast kultura mieszczańska, wraz z jej hasłami materialnego dobrobytu zatryumfowała ogólnie. Oprócz przyczyn miejscowych, które u nas dopomogły do rozpowszechnienia się tych nowych prądów, działały tu także potężnie wpływy Zachodu, kędy prądy owe, dzięki sprzyjającym warunkom, dosięgły najwyższego rozwoju, prowadząc za sobą z biegiem czasu zupełne zmaterjalizowanie się społeczeństw, zniewieścienie ducha, oraz zwyrodnienia fizyczne i moralne. W wychowaniu zaś zapanował wszechwładnie sentymentalizm. Pojawia się on na wszystkich polach wychowania; zarówno w dziedzinie wychowania fizycznego, jak też w kształceniu umysłu, woli i uczucia. Że twierdzenie powyższe jest słusznem, najlepiej dowiodą nam badania nad dzisiejszą kulturą wychowawczą.

Na czemże polega np. wychowanie fizyczne dzieci teraźniejszych? Oto dziecko rodziców nawet średnio zamożnych przyzwyczajone jest do cieplarnianej temperatury mieszkania, nadmiernie ciepłej odzieży, miękkiej i wygodnej pościeli; odżywia się w sposób nie tyle higieniczny, o ile dogadzający upodobaniom i zachciankom. O jakiegokolwiek pracy fizycznej niema nawet mowy; od czegoż służyć i bony? Zapominamy o tem, że praca fizyczna mogłaby mieć wpływ dodatni pod względem moralnym i społecznym, oraz stanowiłaby wypoczynek dla umysłu po godzinach nauki i czytania. Wprawdzie niektórzy rodzice starają się zastąpić poniżające, wedle ich mniemania, zajęcia — gimnastyką, lecz ta jest dostępną tylko dla mieszkańców większych miast i to notabene ludzi zamożnych.

X.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LUTA.

SZKIC DO POWIEŚCI.



(Dokończenie).

„Na co narzekasz człowiecze?... Na walkę?
To warunek zwycięstwa. — Na niesprawiedliwość? Co to znaczy dla nieśmiertelnego!
Na śmierć? — To wyzwolenie!”

Plotinus «Enneada.»

— Jakże tam ósemka? — pytał felczer, zatrzymując posługaczkę.

— Musi niedobrze; ledwie zipie, a ciągle patrzy w sufit, — odparła, mijając go i postąpiwszy pod drzwi jednego z numerów, zatrzymała się, chwilę nasłuchując, poczem zniknęła za drzwiami.

Na łóżku leżała Luta wychudzona, z wypiekami na twarzy i rozszerzonymi od gorącz-

ki oczyma wpatrywała się w bielejący pułap. Myślała pracowała ciągle, a tyle było tych myśli!... przewalały się i kotłowały, kłębiły, napępniały hukami jej głowę.

Od tego czasu pękały jej skronie i wszystkie pulsa były pospieszniej. Starła się myśleć porządnie, lecz po chwili traciła wątek i zapomniała o czym myśleć miała.

Ach! takie te lekcje! te trudności w przygotowaniu wykładów!... bo na własny kęs chleba w ostatnich czasach lekcjami zarabiała musiała.

Zapomniała uczyć—prawda! wszystko idzie naprzód, a ona przez lat tyle nie miała żadnej wprawy.

Te obce dzieci, to obce miasto, te kursa w odległych dzielnicach, ten pospiech, te wieczne mokre, namiękłe buciki i zabłocone suknie.

Brr! Ale co tam! byle dalej, byle dalej!

Ale cóż to robiła, co robiła wtedy?...

Aha! odebrała list, prawda... list!

Przecież „tego“ nie mogła zapomnieć!

Biedny Tonio!... co ona mu powie?!

Nie, nie teraz, odpisze, gdy będzie silniejszą.

Teraz ma duszę przepojoną goryczą i żalem, strasznym, piekącym żalem, i ból, ból w całym ciele.

Kiedy ją tu przywieźli, myślała, że to już koniec, a to jeszcze nie, i chociaż klócie rozpiera jej piersi i tamuje oddech, to przecież już nieraz tak bywało!

Pragnęłaby spocząć, czuje się taka wyczerpaną, taka znużoną, a jednak powinna walczyć o przyszłość Tonia.

Przyszłość Tonia?!... czy ona temu przeciwdziałać zdoła?

Trzeba znów walczyć, a do prowadzenia tej walki sił jej nie staje.

Gorączkowo szukała w około siebie listu, wreszcie znalazłszy, rozłożyła pismo Tonia, lecz litery skakały jej przed oczyma, zbiegały się i rozbiegały, więc bardziej pamięcią podchwytowała słowa listu.

Czy to być może, aby Irma była na prawdę zgubioną?

Jak ona czuwała nad nią, jak mogła dopuścić do tego!... Wszystko stawiało jej opór, wszystko się jej z rąk wymykało!

Czuje się, jak bankrut, który ostatnią przegrał stawkę, jak rozbitek, dla którego niema ratunku, niema przystani. Radaby otrząsnąć się z tego przygnębiającego uczucia, a jednak ono jest silniejsze nad nią i powraca ciągle i uporczywie, jak motyw zasłyszanej piosenki.

Ma uczucie, że wszystko wraz z nią leci w jakąś przepaść bez końca.

Znikąd ratunku!

I już nie warto nie podejmować, do niczego się przywiązywać, bo oto wbrew naszym chęciom i usiłowaniom los płacze sytuację nie do rozwikłania.

Ale co było w tem jej winy? Czy mogła temu przeszkodzić? Raz jedyny zdobyła się na wyraźną rozmowę z Irma i cóż zyskała?... sypianie w alkierzu, wiodącym do kuchni.

A potem z kąd ten wybuch siły, energii i zaciętości?

W tej chwili jeszcze zdaje jej się, że sły-
szy syczący gniewem i zaperzony głos Irmy:

— Ja go kocham, kocham, i nikt na świe-

cie nie może mi tego zabronić. Ty tego, zresztą, nie rozumiesz!

Nie rozumiała.

Całe życie zachowała naiwność i świętość pojęć o stosunku kobiety do mężczyzny. Nikt jej nie kochał i nie pożądał; nieczyje usta nie dotknęły jej ust nigdy.

To prawda, a jednak...

Ona to sobie inaczej przedstawiała i w głębi serca kryła przez całe życie swój ideał nienaruszony.

Zapewne, — czemużby Irma kochać go nie mogła?! Była przecież wolną i mogła jeszcze kochać i być kochaną. Ale jakoś nie tak, — nie tak!

Ten Drageć od początku nie wzbudzał jej zaufania. Coraz częściej między nią a Irma wybuchać zaczynały zwady i zaostrzały stosunki z powodu lada drobnostki.

Usunęła się wreszcie z domu.

Dotychczas przynajmniej Tonio nie przewidywał, a dziś...

Rozłożyła znów list chłopca i czytała:

— „Ty, mówisz, ciotko Luto, że ja nie powinienem być sędzią i katem swej matki, ale jej obrońcą, opiekunem i podporą w przyszłości. Dotychczas i ja tak myślałem; matka była dla mnie świętością, była ideałem.

„A dziś?! Co zrobiono ze mną, co zrobiono z duszą moją?

„Czemu mi dano tak nagle, tak nieoczekiwanie spaść z moich marzeń dziecięco-młodzieńczych w samo błoto ludzkiej rzeczywistości!

„O! jaki świat jest marny, jacy ludzie są marni!

„Kto mi powróci wiarę w nich, jeżeli tym, co byli najbliżsi sercu wierzyć nie można! Kto mi to wynagrodzić zdoła, mnie, dziecku niewinnie pokrzywdzonemu?

„Czemuś Ty mi zawczasu oczu nie otworzyła, czemuś mi nie powiedziała jeszcze wtedy, gdy na wakacje przyjeżdżał, nie nie podejrzewając?...

„Nie darmo zwano cię „świętą“, choć się obruszałaś na ten przydomek. Zwierzałem Ci się z jakichś niepokojów i przewidywań, a Tyś mnie zgromiła za złe i krzywdzące insynuacje i mówiłaś tak pocziwie i zanie

„Ale dziś wiem, że każde zło da się jako dobre i prawomocne przedstawić, skoro je się raz za takie uważa. Ale ja, Luto, powinienem być zostać twoim synem, bo na to, co się tu dzieje, bez wstępu i oburzenia patrzeć nie mogę.

„Dziś możemy już mówić ze sobą otwarcie.

„Ja przecież postarzałem tak nagle o lat dziesiątki. Skowronek zamilkł na zawsze.

„Czy ty wiesz, co się tu działo, gdy mnie i ciebie już w domu nie było?

„Juro znosi mi plotki, od których wstyd twarz mi pali i dusza się wzdryga, a jednocześnie ciekawie i łakomie łowię jego słowa. Powinienem wypoliczkować go i nie pozwolić mu mówić w ten sposób o mojej matce, ale nie mogę, brak mi sił, bo niestety, to wszystko prawda!

„W kolegium otrzymywałem coraz mniejszą sumę na utrzymanie, z nadmianieniem, że „powinienem się oszczędzać“, bo zbyt wiele mają wydatków w domu (zapewne!).

„W ostatnim semestrze przedsięwziętym

dostałem zaledwie połowę, a na opłatę wykładów nic zgola! I co powiesz? Tłómaczo-
no mi w liście, żeś ty zażądała zwrotu swojej sumy...”

„Jej sumy...” — podniosła brwi i ręce w górę z wielkiego zdziwienia.

Wszakże jej suma zginęła bezpowrotnie podczas choroby Srgjana Juraniča.

„Dziś widzę, że to fałsz. Wtedy sprzeda-
no ogród wokoło domu.

„Miałem nie przyjeżdżać na święta Bożego Narodzenia, bo nie było za co, ale w sam dzień wigilijny, opanowała mnie taka tęsknota i niepokój, jakieś przecucie, że się coś złego stało, że rektor widząc, iż dosiedzieć nie mogę, sam mnie wyprowadził.

„Przyjechałem późnym wieczorem. Zamiast wbiec pędem, jak to dotąd czyniłem, zatrzymałem się naraz przed domem w przecieczu jakiegoś nieszczęścia.

„Odpadła mi naraz chęć i cel mego przyjazdu wydał mi się dziecinny i nierozsądny. Wdrapałem się na parapet okienny i przetarłszy ręką szybę, zajrzałem do oświetlonego jadalnego pokoju.

„Resztę już wiesz?...

„Mówiono ci przecież, że długo chorowałem, a dodam od siebie — tu siedzę.

„Tak — trulem się tej nocy.

„Ty powiesz, że to zbrodnia, że to niegodne, zapewne, wolałbym się być zastrzelić, bo to mniej zawodne i dla mężczyzny bardziej odpowiednie.

„A tak?... Żyję przecież.

„Nie łaj mnie i nie moralizuj, bo ja swej jednej biedy mam już dosyć! Jestem, jak pies, skopany bez prawa obrony, jak zgoniony włóczęga, jak splakane, pokrzywdzone i bezradne dziecko!

„A całe życie przedemną! Co począć? Trzeba jednak pójść dalej, ale jak? Tak mi źle, tak pusto i ciemno!

„Cierpię—i w tej chwili nie mogę się jeszcze zdobyć na wyrozumiałość, przebaczenie i współczucie dla matki.

„To tak boli! Czyja w tem wina?...”

A nieco poniżej dopisek: „Dziś wystawiono winnice na sprzedaż. Co dalej pójdzie?”

Jezu! Co za męka, co za ból! Już i winnice?...

Lecieć ratować, ostatkiem sił ratować, osłonić, nie dopuścić. Zrywa się, pędzi, leci, jak na skrzydłach, roztrąca tłumy ludzi, przediera się z trudem przez jakieś żywe zapory, wpada na jakieś schody, strome, uciążliwe, wysokie.

Już tchu jej nie staje w piersiach, otwiera jakieś ciężkie drzwi, wchodzi w jakieś ciemne, zawile labirynty, nie widzi już końca przed sobą; naraz spada, leci gdzieś w dół, leci, leci z rozpędem i nagle znów widzi przed sobą schody, nieskończone schody...

Wczesny, zimowy ranek zaświtał nad miastem. Szary był, bezsłoneczny i przejmujący. Woźnice machali rękoma i uderzali się po bokach, lub przestępowali z nogi na nogę, tupiąc o ziemię, aby się rozgrzać.

Przed kaplicą szpitalną skupiła się gromadka ludzi, zwabionych niecodziennym widowiskiem. Kilka służących, dążących na targ, garstka posłańców, wyrostków, przechodniów i gapiów zatrzymała się przede drzwia-

mi, rozprawiając i komentując między sobą wieści, zaosttrajające ciekawość.

Z wnętrza kaplicy wyniesiono skromną, drewnianą trumnę i ustawiono na lichym, jednokonnym karawanie, który wnet ruszył z pospiechem i klekotem, cechującym pogrzeby ubogich.

— Czy niema nikogo z rodziny? — zapytał lekarz dyżurny młodego kolegi, stojącego we drzwiach.

— Życzeniem nieboszczki było, aby nie zawiadamiać nikogo. Chowamy ją na koszt szpitala...

Gustawa Toporcanka.



WALKA ZE ZBRODNIĄ,

PRZEZ

Alexandra Mcogilnickiego.

(Odczyt, wypowiedziany w d. 6-ym kwietnia r. b. w Łodzi).



(Dokończenie).

Często się także zdarza, że przyczyny fizjologiczne łączą się z socjologicznymi i wytwarzają specjalne rodzaje przestępstw.

Matka zabiła swoje własne dziecko: zbrodnia, wołająca o pomstę do nieba! Ale ta matka to biedna dziewczyna, uwiedziona przez lekkomyślnego kochanka i porzucona na bruku wraz z małym dzieckiem. Pani, u której służyła, surowa enota, spostrzegłszy, że dziewczyna jest w odmiennym stanie, wydalila ją ze służby. Nieszczęsna przez kilka miesięcy tułała się tu i ówdzie, nie mogąc ukryć coraz silniej uwydatniających się śladów chwilowego błędu, nieraz przymierała głodu, a na każdym kroku oblewała się rumieńcem hańby spotykając się z ludźmi, którzy, jak się je, wydawało, wszyscy przyglądali się jej z szyderstwem i śmiali się w oczy. Potem przyszła choroba w brudnej i wilgotnej norze, aż nareszcie urodziła się drobna niewinna istotka, mimowolna przyczyna cierpień i hańby. Co ona zrobi z tem dzieckiem? Nikt jej nie przyjmie do służby, każdy wyrzuci, wysmieje, dziecko przez całe życie będzie nieszczęśliwe, pójdzie na poniewierkę, nigdy nie zniknie mu z czoła piętno hańby matczynej. Za nią nędza, hańba i cierpienia, przed nią nędza i hańba jej i dziecka. A w dodatku gorączka, spowodowana przez chorobę, jeszcze powiększa wizję oczekiwanych nieszczęść. Jak się od nich uwolnić? Wystarczy jeden energiczny ruch. Dziecię leży na twardej podłodze i spi. Jedno silniejsze naciśnięcie ręki, a wątle to życie zgaśnie bez bólu. Nikt go żałować nie będzie. Śmierć będzie dobrodziejstwem dla niego i dla niej. Nacisnęła słabe gardelko. Po chwili opamiętała się, chciała przywrócić dziecku do życia, rozcierała je, chuchała. Zapóźno! Dziecię nie żyje, a ją posadzono na ławie oskarżonych *).

Przestępców, powodowanych przyczynami socjologicznymi, można podzielić na trzy ka-

tegorie: przestępców z przyzwyczajenia, epizodycznych i niepoprawnych *).

Znaczna większość przestępców—to tak zwani przestępcy z przyzwyczajenia. Od małego dziecka nie wpojono w nich zasad moralności i miłości bliźniego, o poszanowaniu cudzej własności nikt im nie mówił, a przeciwnie całe ich otoczenie składało się z ludzi, stojących bardzo nisko pod względem moralnym, którzy sami nie mając żadnych lepszych pojęć, musieli zarazić młodych swych towarzyszy wszystkim złem, w jakim grzęzli oddawna. Młody chłopak, pozostawiony samemu sobie na bruku miejskim, naturalnym biegiem rzeczy zbliża się i zaprzyjaźnia z innymi, również opuszczonymi chłopcami, którzy, starsi i wytrawniejsi, uczą go, jak spędzać przyjemnie życie, nie zginając karku do ciężkiej pracy. Namawiają go do pierwszej kradzieży; dobre instynkty wraz z pewną obawą waleczą w nim przez chwilę, ale wkrótce złe przeważa i pierwszy krok na pochyłej drodze zostaje postawiony. Kradzież się nie udała, młodego przestępcę złapano i osadzono w więzieniu, gdzie naturalnie spotyka się z towarzystwem weteranów zbrodni, którzy go uczą, jak dalej postępować w chlubnie rozpoczętym zawodzie. Wstąpił do więzienia, jako nowicusz, a po roku wychodzi z patentem ukończenia szkoły przestępstwa. Wie doskonale, jak i gdzie kraść, w jaki sposób oszukać czujność pokrzywdzonych i władzy, jak ukryć zdobyte łupy. Pomimo tego wkrótce łapia go znowu i znowu osadzają w więzieniu, ażeby po pewnym przeciagu czasu wypuścić go z nowym zasobem wiedzy i środków do spełniania przestępstw. Teraz, gdyby najbardziej chciał cofnąć się z obranej drogi, nie potrafi już temu podołać, jest fachowcem złodziejem, niezdolnym do innego zajęcia, chce czy nie chce, musi staczać się coraz niżej po pochyłości ziemi. Zginie marnie i stanie się powodem nieobliczonych strat dla społeczeństwa.

I to wszystko dlatego jedynie, że złe wpływy zabiły w nim wszelkie dobre instynkty, że nie znalazł nikogo, ktoby go nauczył pracować, dobrze się prowadzić, być użytecznym członkiem społeczeństwa. Gdyby go po spełnieniu pierwszego przestępstwa usunięto z dawnego otoczenia, przeniesiono z trującego błota na zdrową glebę, otoczono dobrymi przykładami, nauczono żyć, jak się należy i uczciwą pracą zdobywać sobie utrzymanie, kto wie, możeby już nigdy nie zechciał wyciągnąć ręki do spełnienia złego czynu. Każdą prawie chorobę można stłumić w zarodku, każdego prawie przestępcę w początkach można sprowadzić ze złej drogi na dobrą.

Nie okrutne kary, nie wyszukane cierpienia, lecz oparta na moralnych zasadach szkoła—oto największy nieprzyjaciel zbrodni. Wpajać w młode umysły zasady moralności, napędzać je wiedzą w najogólniejszym znaczeniu tego wyrazu, zaszczipać dobre skłonności i usypiać złe instynkty—oto zadanie, które gdy będzie spełnionem, liczba przestępstw zmniejszy się ze zdumiewającą szybkością. Wychować młode pokolenie w zasadach moralności, poprawiać tych, którzy potrzebują poprawy, usunąć młode płonki z pod złych wpływów i otoczyć je

dobremi.—to pierwsze i najskuteczniejsze lekarstwo przeciwko zbytniemu rozszerzaniu się przestępstw. Jedna ochronka, jeden przytułek dla bezdomnych sierot, więcej zrobi na tem polu, niż wszystkie razem wzięte gilotyny, szubienice i kajdany.

Nie każdy jednak, kto spełnił przestępstwo, jest tak dalece zepsutym, ażeby potrzebował systematycznej poprawy. Dosyć znaczna ilość przestępców żyje w zdrowym otoczeniu, wśród sprzyjających warunków, pod dobrymi wpływami. Dla nich nie trzeba zmieniać niczego w zewnętrznym ich życiu, nie trzeba tworzyć zakładów poprawczych. Przestępstwo w ich życiu to epizod, pojedynczy, wyjątkowy wypadek, który, zapewne nigdy już się nie powtórzy. Mąż, który zabił żonę, zastawszy ją z kochankiem, kasyer, który zapożyczył się z powierzonej sobie kasy, aby ratować śmiertelnie chorą matkę, parobek wiejski, niewinnie obity i wydalony, który w przystępie rozpaczcy podpalał stodołę niesprawiedliwego pana, rzemieślnik, który, nie mogąc pracować z powodu choroby, kradnie, ażeby uwolnić siebie i rodzinę od głodowej śmierci—wszyscy ci ludzie spełniają przestępstwa, ale przestępstwa te nie stanowią wyrazu ich stałego wewnętrznego nastroju, nie są normalnym objawem ich charakteru. Poprawianie takich ludzi byłoby zbyt dużym nakładem pracy i czasu: i bez tego pozostaną oni nadal pożytecznymi członkami społeczeństwa. Do spełnienia karygodnego czynu popchnął ich nieszczęśliwy zbieg okoliczności, jaki się już może nigdy w ich życiu nie powtórzy. Nie można jednak zostawić ich czynu bez kary, choćby dlatego, że w umysłach ludzi zbyt jeszcze zakorzenionem jest łączenie pojęcia zemsty z pojęciem kary, że wrodzone człowiekowi dzisiejszego pokolenia poczucie odwetowej sprawiedliwości rozkazuje mu obrażać się na każdy zły czyn i żądać ukarania przestępcy, bez względu na to, jakie skutki pociągnie za sobą kara. Gdyby pozostawić przestępców tej kategorii bez kary, postępowanie takie poniekąd upoważniałoby innych do robienia tak samo; przepis prawa, zabraniający pewnych czynów, straciłby sankcję, a tem samem i moc obowiązującą dla społeczeństwa,—z zabronionych, czynów takie stałyby się tolerowanymi. I sam przestępca epizodyczny, pozostając bez kary za czyn, wzbroniony przez prawo, straciłby wiarę w moc tego prawa, stałby się pohniejszym do powtórzenia tego samego czynu. Jeżeli mamy do czynienia z przestępcami tej kategorii, musimy ich poddać lekkiej karze dla przykładu, dlatego, żeby wykonanie kary nadało sankcję przepisowi prawa, odstraszyło przestępcę od powtórzenia podobnych czynów i całe społeczeństwo od ich popełnienia.

To jedyny szczałek, jaki dzisiejsza nauka zachowała z dawnej teorii odstraszenia.

Są jednak przestępcy, na których nie wpływają ani najbardziej skomplikowane systemy poprawy, ani najsurowsze kary. Zbrodnia stała się ich chlebem powszednim, poniekąd koniecznością ich życia, częścią składową ich natury. Zaledwie zostaną wypuszczeni z więzienia, natychmiast czynią wszystko, co mogą, ażeby tam powrócić. Przestępstwo uważają za fach, a karę za niebezpieczeństwo zawodowe. Murarz, wchodząc na rusztowanie, ryzyku-

*) „Obrońca“ str. 14, i 15.

*) Por. „Indywidualizacya“, str. 7—11.

je upadek z wysokości, żeglarz ryzykuje utonięcie, lekarz—zarażenie się, robotnik fabryczny—może być zranionym przez maszynę, żołnierz zginąć od kuli, górnik—udusić się gazami, tak samo przestępca ryzykuje dostanie się do więzienia, lub na rusztowanie. Widziałem raz w sądzie złodzieja, kilkakrotnie już karanego, który, na zapytanie przewodniczącego, dlaczego miał przy sobie wytrychy, odpowiedział najspokojniej: „Ja jestem złodziejem, to moje rzemiosło, muszę nosić z sobą narzędzia.“ Takich ludzi rzadko kiedy udaje się poprawić, nauki moralne odbijają się od nich, jak groch o ścianę. „Starać się ich za drogie pieniądze poprawiać w więzieniach celkowych—powiada prof. Liszt,—jest zwyczajnym nonsensem; wypuszczać ich po upływie pewnego czasu na wolność, jak dzikie zwierzęta, na to, ażeby po spełnieniu trzech lub czterech nowych przestępstw, znowu się dostali do więzienia i znowu byli „poprawianymi,“ to jest więcej i coś innego, niż nonsensem.“ Niema innej rady, trzeba ich w ten lub inny sposób odosobnić od społeczeństwa, uczynić ich nieszkodliwymi, pozabawić ich możności spełniania przestępstw. Dla tej kategorii przestępców powinny istnieć specjalne zakłady, w których pozostawiliby oni pod ścisłym dozorem i pracując z musu, wynagradzali choć w części stratę, jaką społeczeństwo przez nich ponosi.

Widzimy więc, że na każdą kategorię przestępców należy inaczej działać, do każdej zastosować inny system, ażeby osiągnąć to, co jest jedynym celem prawa karnego—zmniejszenie ilości przestępstw. Zanim będziemy mieli takie szkoły i zakłady wychowawcze, któreby wszystkim bez wyjątku ludziom wpały zasady moralne, zdolne powstrzymać ich od przestępstw, dopóki będą istniały przyczyny, prowadzące ludzi do zbrodni, póty będą przestępstwa i społeczeństwo będzie musiało bronić się przeciwko przestępcom, jako swym wewnętrznym wrogom. Społeczeństwo, bez względu na to, czy będziemy je uważali za żyjący organizm, czy za zbiór żyjących jednostek—w każdym razie żyje, musi podtrzymywać swoją egzystencję, bronić się przeciwko tym, którzy czyhają na podkopanie tego życia. Prawo obrony własnej—to jedno z najbardziej zasadniczych praw natury, jest ono przyznane wszystkim istotom na ziemi,—nie można odmawiać go i społeczeństwu.

Bronią przeciwko przestępstwu jest między innymi kara. Ale broni tej społeczeństwo nie powinno używać na ślepo, nie powinno machać mieczem na wszystkie strony z zamkniętymi oczyma, bo kara to miecz obosieczny, to—jak mówi Liszt: „obrona praw przez porażenie praw.“ Karząc szkodliwe jednostki, nie powinniśmy zapominać, że nie walczymy z zewnętrznym wrogiem, którego zupełna zagłada nie przyniosłaby nam żadnej krzywdy, że podnosimy miecz przeciwko naszym współpracownikom, przeciwko członkom tego samego społeczeństwa, związanym z nami nierozdzielalnymi węzłami. Każda głowa spadająca z gilotyny, to strata *naszej* jednostki, *nasza* strata, zmniejszenie *naszych* sił wytwórczych. Każdy rok, spędzony przez przestępcę w więzieniu, to stracony rok pracy ludzkiej, którą przestępca mógłby złożyć w wielkiej skarbnicy ogólnego dobra, gdyby zamiast być prze-

stępca, pracował uczciwie na jakimkolwiek polu. Społeczeństwo nie powinno być mścicielem, łaknącym gorącej krwi przestępcy i rozkoszującym się jego śmiertelnymi jękami, lecz matką, która karze ukochane dziecko, zadaje mu chwilowo małą przykrość, ażeby je uchronić od wielkich przykrości i nieszczęść w przyszłych latach jego życia. Karząc przestępców, powinniśmy myśleć nie tylko o obronie własnej przeciwko ich napaściom, ale i o tem, co się z nimi stanie, jaki wpływ wywrze kara na te same istoty, do których jest stosowana, jakie wrażenie zrobi na innych ludzi. Przed określeniem kary za dany czyn, powinniśmy zastanowić się nie tylko nad tem, czy kara ta odpowie wymaganiom ścisłej sprawiedliwości, ale i nad tem, jakie skutki za sobą pociągnie, czy poprawi przestępcę, czy będzie ostatecznym ostrzeżeniem na przyszłość dla niego i dla innych, czy uczyni go nieszkodliwym, czy zabezpieczy chociaż częściowo spokojnych mieszkańców przeciwko pogwałceniom ich praw; czy wołając: „fiat justitia,“ nie wykrzyknemy zarazem: „pereat mundus.“ Bo niema bezwzględnej sprawiedliwości na świecie, tak, jak niema na nim bezwzględnych prawd. Jak każda prawda ludzka bywa nią tylko dla danej epoki, dla danego miejsca i warunków, tak samo każde wcielenie sprawiedliwości jest niem o tyle tylko, o ile odpowiada pewnym określonym warunkom. A warunkami temi przy określaniu kary są przede wszystkim konkretne strony indywidualności przestępcy,—do nich musi być zastosowana wielkość i jakość kary. Tylko ta kara jest sprawiedliwą, której zastosowanie odpowiada danym warunkom, wywiera odpowiedni wpływ, powoduje odpowiednie zmiany.

Jeżeli dla poprawy, odstraszenia lub izolowania wystarcza ta lub inna kara, to wszelkie jej powiększenie będzie niesprawiedliwem, jako niepotrzebne zupełnie okrucieństwo, wszelkie zaś zmniejszenie będzie również niesprawiedliwem, ponieważ przy zmniejszeniu kara może nie osiągnąć celu, niedostatecznie poprawić, zamało odstraszyć, nie dość odosobnić przestępcę, a tem samem może narazić społeczeństwo na niepowetowane straty.

Cała trudność polega jedynie na tem, jak indywidualizować karę, jak zorganizować taki system wymiaru sprawiedliwości, żeby do każdego przestępcy mogła być zastosowana odpowiednia kara, żeby nie karać za dużo, ani zamało; jakie wydać przepisy i jak je wykonywać, ażeby dotrzeć do niedostępnych tajników duszy przestępcy, zbadać jego stan wewnętrzny, określić, jaki jest rodzaj i stopień ukrytej w nim przestępczości, wynaleźć odpowiednie środki, któreby mogły albo zrobić z przestępcy uczciwego obywatela, albo, jeżeli to się okaże niemożliwym, przynajmniej uczynić go nieszkodliwym i zabezpieczyć przed nim innych ludzi, nie zapominając jednocześnie, że przestępca jest człowiekiem, żyjącym i czującym, i że wszelkie zadane mu napróżno cierpienie jest wielką krzywdą i poniżeniem dla całej ludzkości.

Nielada to zadanie, Nielada sił potrzeba, ażeby mu podołać. A spełnić je trzeba koniecznie, bo bez tego zawsze będziemy otoczeni ze wszystkich stron przestępcami, czyhającymi na nasze życie, cześć i mienie, zawsze będzie-

my cierpieli na widok niesłusznie pokrzywdzonych, którym nie potrafimy nic pomódz. Biedne dzielnice wielkich miast rokrocznie będą wydawały zastępy wrogów społeczeństwa, gromady nieszczęsnych, tonących w błocie istot, dla których nie będzie ratunku, skoro raz zaczęną się staczać po pochyłości ziemi. Więzienia będą przepełnione recydywistami, weteranami zbrodni, których całe życie upłynęło pomiędzy odsiadywaniem kary a wymykaniem się od niej, a którzy na to po upływie określonego terminu opuszczają mury więzienne, ażeby wkrótce znów do nich powrócić *).

Do współdziałania na tem polu wszyscy jesteśmy powołani; każdy z nas może, jeżeli tylko zechce, przyłożyć cegiełkę do wielkiego gmachu, każdy może stać się choć w małej części obrońcą społeczeństwa przed zbrodnią. Jeden dobry przykład, jeden szlachetny czyn, jedno dziecko, nauczone czytać, jedna sierota przyjęta do ochronki—to jeden krok naprzód na drodze walki z przestępstwem.

Czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży,
A całość sama się złoży!...



Nowy zawód dla kobiet.



Nie braknie kobietom pomysłowości. Twarde warunki bytu nauczyły je szukać pracy nie tylko na utartych, lecz i na nowych drogach! Oto Angielka, mrs. Panton, siostra słynnego rzeźbiarza Forda, po stracie męża, znalazła się bez żadnych środków do życia z dwójkiem małych dzieci. Co było robić? Przy dawnych stosunkach trafiła do redakcji jednego z pism kobiecych i zyskała w niem współpracownictwo przygodne. W pierwszym swoim artykule wpadła od razu na pomysł szczęśliwy: opisując, jakby urządziła mieszkanie, gdyby miała pieniądze. Było w jej projektach tyle smaku, że redakcja została zarzucona listami. Kilkaset pań zwracało się do autorki artykułiku z zapytaniem: jak zmienić umeblowanie i urządzenie domu, przestarzałe i szablonowe?

Mrs. Panton odpowiedziała swoim korespondentkom w te słowa: „Każda z pań ma inne wymagania, inne pojęcie o smaku, wreszcie różnicie się stopniem zamożności. Niepodobna udzielić wszystkim jednej ogólnej rady. Otrzymałam dotychczas dwieście zapytań. Niema miejsca w naszym piśmie na tyle odpowiedzi a i ja nie mogę poświęcać sił i czasu na odpowiadanie tylu czytelniczkom. *Time is money*, zwłaszcza dla mnie, która mam czasu dużo, a pieniędzy mało. Ale uczynię moim korespondentkom pewną propozycję: Każda z osób, pragnących mojej rady, otrzyma ją za włączeniem do listu 7 szylingów (około 3 rs.). Postaram się, o ile możliwości, udzielać wam rad pożytecznych i współdziałać w upiększeniu waszych mieszkań.

Ta propozycja została chętnie przyjęta. Listy z pieniędzmi posypały się gradem. Mrs. Panton ma obecnie czas zajęty od rana do

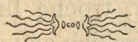
*) «Indywidualizacja,» str. 16 i nast.

wieczora, natomiast nie brak jej pieniędzy. Rankami ogląda sklepy londyńskie, dowiaduje się o ceny, bierze wzory, adresy; po południu zastosowuje w praktyce to, co zdobyła w teorii. Klientki nie zadawałnając się radami piśmiennymi, żądają ustnych. Mrs. Panton wzywana jest nie tylko do miasta, lecz i na prowincję. Za dzień, spędzony po za Londynem, otrzymuje pięć funtów szterlingów i zwrot kosztów podróży; za odwiedzin w mieście po funcie szterl. Dzięki swoim zarobkom mogła urządzić własny dom wytworzone. Każda z klientek może w oznaczonych godzinach zwiedzać go od piwnic do strychów i uczyć się, jak przy dobrym smaku i praktyczności można urządzić się ładnie i tanio.

Mrs. Panton jest dumna, że za jej sprawą szablonowość ustąpiła gustowi indywidualnemu w tysiącach mieszkań londyńskich.

Czyby i u nas nie znalazła się jaka pani Panton i nie zechciała przemeblować naszych saloników mieszczańskich, w których pretensjonalność ubiega się o lepsze z popolitością? Mamy wprawdzie tapicerów, ale ci fachowcy, z wyjątkiem kilku, bardzo drogie, pogrążeni są w rutynie i dbają tylko o swój interes, wówczas gdy taka „Mrs. Panton“ starałaby się wyszukać rzeczy niekosztowne a ładne i jaknajlepiej doradzić swoim klientkom. Jej usługi zdałyby się osobom, przybywającym ze wsi, dorobkowiczom, wreszcie ludziom, nie posiadającym własnego gustu, a takich jest bardzo, bardzo wielu. Obie strony wyszłyby dobrze na takiej transakcji. Jeśli myśl rzucona odniesie skutek, życzę warszawskiej pani Panton, aby jej się powiodło nie gorzej, niż londyńskiej, która dziś, oprócz własnego domu ma willę podmiejską, i spory kapitał.

E. Żm.



Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, w maju.

Ciężkie chmury zawisły znowu nad Francją...

„Przodowniczka narodów,“ jak się sama w swej wielkiej szowinistycznej pysze mianuje, stacza się zwolna ze słonecznego tronu sławy orędowniczki postępu, nauki i sztuki, aby zstępować coraz niżej w jakieś błotne kałuże, gdzie pełzają najohydniejsze znieprawienia i występki.

Gdyby dziś z grobów powstał ci wielcy twórcy Rewolucji, te krwiożercze sępy, które rwąc w sztuki dawne monarchiczne porządki, miały jednak przed sobą wielki, wzniosły cel, a w piersiach aż fanatyczną cześć dla wolności, załamałoby dłonie w rozpacz nad losem Francji za Trzeciej Rzeczypospolitej.

Przygotowała ją zdrada Sedanu, zaprzedała jednego z wodzów armii, a za nią poszły Wilsoniada, kupczenie tym orderem, dla którego legiony orłów Napoleońskich szły na śmierć nawałami, chmurami całymi, byle na stygnącej piersi przypiąć tę czerwoną wstążeczkę Legii honorowej.

Po tem przyszła Panama.

W błoto infamii zapadli się wielcy mężowie stanu, finansisci, wszystko, co Francja miała wybitnego.

Wszystko to zwał się przekupstwem, byle grosz zarobić.

Potem przyszła hańba armii, nowa Dreyfusowska zawierucha, wykazująca, że ów „kwiat ojczyzny,“ ta tak wielce ceniona armia, sprzedaje więcej dającemu bramy swej ojczyzny.

Teraz przyszło to kolosalne, niesłychane oszustwo Humbertów, a w kałużę runie wyższa magistratura Francji, wielcy mężowie stanu, najpierwsze figury urzędowe.

Jest coś zdumiewającego w tej Francji dzisiejszej: ta szalona chęć błyszczenia i użycia, kosztem byle czego, nawet honoru i uczciwości.

Tętni tu w powietrzu jakaś niezdrowa gorączka, unosi się jakiś zły duch kusiciel, co jednym wskazuje pałace, mówiąc: „Idź, bierz, to twoje!“ — i rodzi owych zbrodniarzy-wyrotowców, a drugim znowu ukazuje przepychy i władzę, wskazuje kręte manowce postępu, przekupstwa dla karyery.

Nigdzie chyba szczyt państwa, owe sfery rządzące i kierujące zarówno wewnątrz, jak zewnątrz, stosunkami państwowymi nie są tak moralnie zgangrenowane, jak we Francji.

Parlamentaryzm opiera się tu stanowczo na dwóch zasadniczych podstawach: oszczerstwo wprost zbrodnicze i przekupstwo.

Kto zadał sobie trud przejrzeć [afisze wyborcze, które] Paryż był literalnie wyklejony w czasie ostatnich wyborów, ten nabierze przekonania, że owych 591 obywateli, reprezentujących 38 milionów Francuzów, to sami szubrawcy, złodzieje, oszuści i t. d.

Rywale-kandydaci obrzucali się błotem, zarzucając sobie wzajemnie takie hańbiące uczynki, które najczęściej pozostawały niezupełnie odparte, że czy wyborcy wybrali tego, czy innego — zawsze wybrali jakiegoś nicponia.

Rzecz prosta, że jest to paradoks, ale w świetle opinii głoszonych w afiszach wyborczych staje się to tylko smutnym pewnikiem.

Że partya nacjonalistyczna, którą dzisiaj składają wszyscy reakcyoniści, a więc wszyscy konserwatyści, rojaliści, bonapartyści i t. d., sypała złotem, okupując głosy — to pewna.

Że inne grupy czyniły toż samo — nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Jest przytem coś naiwnie śmiesznego w tych wyborach, które istotnie powinny być najuroczystszy akt życia społecznego Francji: kandydaci oplacają się, ściskają ręce nieznanym ludziom, urządzają konferencje przedwyborcze z poczęstunkiem i śpiewaczkami z *café-concert*...

A raz dostawszy się do Izby, starają się przeważnie o jedno: o wyzyskanie sytuacji dla zrobienia dobrego interesu.

Sprawa Humbert wykwitła z tych zginiętych stosunków. Powstała dlatego, że Francja jest krajem, w którym wszystko kupić można.

Dni przyszłe, jak się zdaje, odkryją nam szeregi nowych brudów, wypłyną znowu najwybitniejsze nazwiska Francji, krążące jak émy w koło ognia, w około pustego kufra

pani Humbert, przy której jednak można było coś zarobić.

Jak, zresztą, we Francji utracą się coraz więcej poczucie godności własnej, dowodzi najwymowniej fakt powołania na stanowisko ministra finansów, a prawdopodobnie później na prezesa ministrów, Rouvier'a, człowieka niesłychanie skompromitowanego w procesie Panamskim, człowieka, który w swoim czasie z olbrzymim cynizmem przyznał się w Izbie do brania czeków-lapówek. Takie ministerium sądzić ma sprawy pani Humbert!

Radykalne rządy p. Combès, który na kilka miesięcy objął spuściznę po Waldeck-Rousseau, zaznacza się ostrym antyklerykalizmem, bezwzględnością stosowaniem prawa o kongregacjach, oraz rozciągnięciem nauki czysto rządowej t. j. przeciw-religijnej.

Nietolerancja najwyższa, ściganie i prześladowanie ludzi wierzących, praktykowane ostatnio z taką surowością w armii, rozciągnięte teraz jeszcze jaskrawiej na wszystkie działy Wielkiej Administracji, tego bożka funkcyjnaryzmu francuskiego.

Bo na tym punkcie Francja daje nam do zanotowania jeszcze jedną niezrozumiałą anomalie.

Żaden kraj tak głośno, tak nieustannie nie głosi hasła swobody, jak Francja. „Egalité, Fraternité, Liberté“ czytać trzeba na każdym gmachu publicznym, na każdym afiszu rządowym.

Egalité, Liberté, więc tolerancja i równość, wolność przekonań! Tymczasem nikt nie jest mniej tolerancyjnym od rządu francuskiego, który pozbawia chleba urzędnika, za to, że żonę jego widziano na Mszy św. w kościele!

Fraternité! A nigdzie hierarchie nie są z więcej chińską surowością przestrzegane, jak w tej burżuazyjnej Francji, gdzie stosunki pomiędzy szefem a podwładnymi dochodzą do bałwochwalecznej uniżoności, a gdzie rutyna i jakiś zaśniedziały, wstrętny, biurokratyczny konserwatyzm panuje we wszystkim.

Kiedys w Operze jeden z moich znajomych znalazłszy się na galerii trzeciego piętra, z boku, był absolutnie sam, z tej strony. Ani w rzędach obok niego, ani za nim nie było nikogo. Obok niego w przejściu stał tylko podoficer gwardyi municypalnej.

Nie widząc dobrze sceny, znajomy mój wstał. Nagle podoficer podchodzi do niego i półgłosem prosi, aby siadł.

— Dlaczego? — pyta zdziwiony mój znajomy.

A przedstawiciel władzy miejskiej odparł poważnie:

— Bo się przeszkadza patrzeć tym, co z tyłu siedzą.

— Ależ tam nikogo niema!

— Nic nie szkodzi, nie wolno wstawać.

Owa cześć dla *formy*, to podstawa biurokratyzmu francuskiego, to jednocześnie z zakorzenionym konserwatyzmem w drobnych życiowych wypadkach, obraz wstecznej kultury tego narodu, który tak głośno woła o hasła postępowe. I te przeciwieństwa są wprost zastanawiające w psychologii współczesnej Francji, która z jednej strony zużytkowuje istotnie społeczne czy naukowe zdobycze ostatnich dni, z drugiej zaś strony w całym swym życiu wewnętrznym, domowym niejako, jest

przesiąknięta przestarzałymi formułkowymi pojęciami i hołduje obyczajom z przed stu laty.

* * *

Parę dni temu rozmawiałem o feminizmie dzisiejszym i jego rozwoju we Francji.

Interlokutorka moja, jedna z tych pionerek, które od dziesięciu lat najwybitniej i najzarliwiej apostołują w sprawie uniezależnienia kobiet, z pewnym żalem zaznaczała, że dzisiejszy stan ruchu feministycznego skierował się na tory, bynajmniej nie te, o jakich inicjatorce marzyły.

Najistotniejszym ogniskiem ruchu tego we Francji jest „Fronde,” pismo założone, redagowane, składane i drukowane wyłącznie przez kobiety. Owóż w około organu tego o zakroju mocno socjalistycznym, zgrupowało się sporo kobiet pod przewodnictwem pani Małgorzaty Durand, byłej artystki Komedyi Francuskiej, kobiety bardzo zdolnej i sprytnej, wszelako jako... osobistej przyjaciółki Rotszylda, niezbyt upoważnionej do zajmowania naczelnego stanowiska w ruchu, który ze względu na licznych swych przeciwników, potrzebuje bardzo nieskazitelnych orędowniczek.

Z tego powodu nastąpił pewien rozłam w stronnictwie, a dwie główne kierowniczki emancypacji kobiet we Francji, panie: Marya Szeliga i Schmakl, usunęły się niejako od czynnego udziału.

Że „Fronde” wypełnia jednak poniekąd swe zadania, przyznać trzeba, ale co najgorsza to to, że wobec składu jej redakcji i przodowniczek ruchu, ogół nieprzyjazny prądowi uważa, że uczciwe kobiety nie należą do prądu feministycznego.

Jest prawdopodobnie dużo ludzkiej złości w tych sądach, ale szkoda, że jest choć cień powodu do podobnych orzeczeń.

Zresztą dyrektorka „Fronde’y” popełniła niedawno arcy-fałszywy, a nawet wprost nędzny krok. Jako aktorka, pani Durand bawiła na przedstawieniach w Niemczech i tam została zaszczyconą przedstawieniem się cesarzowi Wilhelmowi.

Jako redaktorka „Fronde,” pani Durand wygłasza poglądy bardzo skrajne, bo i całe zabarwienie tego pisma jest niemal socjalistyczne; tymczasem z chwilą, gdy ujrzała cesarza Niemiec, cały jej radykalizm znikł: ołśniona majestatem cesarskim, zaczęła w artykułach swych śpiewać hymny pochwalne na cześć Wilhelma, opiewając nawet piękność jego... wąsów, a wreszcie z egzaltacją przyznając się do słodyczy, jakiej doznała, całując rękę cesarską.

Ten artykuł po za całą swą pustotą moralną, ukazuje duszę każdego Francuza: wszyscy krzykacze, wywracają w słowach porządek świata, ale każdy socjalista najzjadlejszy marzy o wywyższeniu się, o orderach, tytułach i pałacach. I przewodzcy socjalistów, jak Millerand albo Jaurès, to ludzie nadzwyczaj niebogaci.

* * *

Zbliża dotknął sprawy feminizmu i przyszłości kobiety francuskiej, znany autor Marcel Prévost w ostatniej swej pracy, zatytułowanej „Lettres à Françoise.”

„Lettre à Françoise” mógłby napisać, gdyż

owe pseudo listy są bardzo lokalne i istotnie pożyteczne mogą być tylko dla Francuzek.

Ze sposobu traktowania sprawy, z myśli wygłoszonych przez Prévosta, jako nowość (sam to zaznacza w przedmowie), widzimy, na jakim dziwnym stanowisku kulturalnym stoi Francja współczesna, kraj przesiąknięty wszelkimi ideami postępu, kraj podobno wolności i braterstwa, kraj idący nawet według zdania pewnego publicysty paryzkiego na spotkanie nowych prądów,— ale też kraj zaśniedziały pojęć, przestarzałych form i odwiecznych komunałów we wszystkim, co się nazywa rodzinnymi stosunkami, oraz stosunkami mężczyzny do kobiety.

I pomimo „Frondy,” pomimo wielkiego rozbudzenia prądów emancytoryjnych, większość Francji spi w swych zaśniewanych pojęciach z początku przeszłego wieku.

Prévost pisze listy jakoby do swej siostrzenicy, znajdującej się na pensji w klasztorze.

Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że autor „Demi-vierges” już w pracy swej p. t. „Les Vierges fortes,” dał *nowe* dla francuskiego społeczeństwa typy kobiet, pracujących na życie samoistnie i uczciwie.

Jak w powyższej pracy, tak i teraz widzimy wysiłek na stworzenie owego „livre blanc,” coś w rodzaju Zolowskiego „Marzenia,” książki dla pań...

I Prévost pragnie, aby jego „Lettres à Françoise” nie opuszczały nigdy młodych pań obecnej generacji, jako brewiarz życia praktycznego, jako wzór wskazówek dla tych, co przekroczywszy wczoraj kraty klasztorne, jutro wejdą roześmiane w wir wielkiego życia paryzkiego. Więc, jako dobry wuj, poucza swą siostrzenicę o wszystkim: o toalecie, o kokieteryi, o nauce, o sportach, o wszystkich tych przeróżnych objawach i zjawiskach, z których składa się wielkomiejskie życie.

Ale bardzo wiele miejsca poświęca Prévost wychowaniu, zaznaczając z nader wielką trafnością wszystkie wady obecnego systemu uczenia. Te stronicie pracy jego, na których dowodzi, że nauczyciele niepotrzebnie zabagniają umysły drobiazgami, zbyt mało zwracając uwagi na to, czy uczeń ogarnął całość, czy wniknął, czy zrozumiał przedmiot, a nie czy go się po papuziemu wyuczył, te kartki są znakomite i żywo zainteresować mogą każdego. Nader ciekawe są „odkrycia” Prévost’a.

Dochodzi on np. do przekonania, że trzeba zmienić stosunek narzeczonych we Francji.

„U nas, gdzie narzeczeni prawie się nie znają przed ślubem,” gdzie jak sam zaznacza, małżeństwo jest w 75% interesem obrabianym przez przyjaciół obu rodzin i ich notaryuszów, gdzie dalej narzeczeństwo trwa parę tygodni, sześć najwyżej, czyli tyle czasu, ile potrzeba na uszycie wyprawy, ogłoszenie zapowiedzi i spisanie intercyzy, należałoby wprowadzić pewne reformy, jak np. postarać się, aby narzeczeni mogli poznać się, ocenić wzajemnie, no, i może pokochać,

Właściwie jest to ostatni wzgląd w małżeństwach francuskich, będących prawie zawsze spółkami handlowymi.

Ciekawe są też uwagi Prévost’a o książkach i ich czytaniu.

Sprawa pomiędzy nim a jego siostrzenicą toczy się o pozwolenie czytania „Quo vadis,” „tego arcydzieła, którego sława przeniknęła nawet ciche mury klasztorne.” I ostatecznie nie zaleca tej książki, uważając w ogóle, że panna nie powinna czytać romansów przed ślubem.

Pomimo całej swej subtelnej głębokości, tak wysoko nie potrafił wznieść się pisarz francuski, aby pozwolić sobie powiedzieć, że kobieta może być obznajmiona z życiem i doń przygotowaną niekoniecznie przez małżeństwo, ale przez wewnętrzny duchowy rozwój, wrodzoną uczciwość i inteligencję.

Że listy Prévosta są ciekawe, że zająć mogą, że czytać je należy, że wszystkie młode panny z pożytkiem przejrzeć je powinny, to kwestyi nie ulega.

Jakkolwiek są one bardzo lokalne, jednakże do stosunków pewnych sfer naszych doskonale się nadadzą, a może przyczynią się do rozświecenia niejednej zawilej kwestyi stojącej niby widmo Makbetowe, przed sumieniem cichej paniutki wiejskiej.

Innego pokroju są trzy romanse Willy, najpopularniejsze w tej chwili we Francji: „Claudine à l’école,” „Claudine à Paris” i „Claudine en ménage.”

U Prévost’a uderza jedno: ogromna pewność siebie, wielka pycha i zarozumiałość, jakaś źle utajona radość człowieka, który sam z siebie rad jest, że tak mądre rzeczy pisze.

Zdaje się ciągle, że autor podziwiać się każe i cieszy się, że on, autor „Demi-vierges” takie moralne nauki prawdziwym dziewczynom dawać może. Modernistyczny autor francuski w szatach Klementyny Hoffmanowej.

Co innego Willy.

Prace jego to epopea dzisiejszej sprytnej, wyemancytowanej nieco Francuzeczki, kształconej w szkołach, obznajmionej ze wszystkim, uczciwej w duszy, trochę lirycznej nieraz nawet wśród łobuzerskich swych grymasów, pełnej życia i temperamentu.

Willy pisze śmiało, aż za śmiało, brutalnie poprostu, nazywając rzeczy po imieniu, ale pisze szczerze, z genialną wprost obserwacją, z taką siłą, że każdy namalowany przezeń obrazek tryska prawdą.

Te trzy historie, w których widzimy dziewczyny w szkole, ich wzajemne stosunki, niezawsze normalne, ich wszechwiedzę najskrytszych nawet spraw życia, ich łobuzerskie dezynfektury, uderzają szaloną plastyką i świetnym oddaniem życia.

Claudine ze szkoły dostaje się do Paryża, kocha się i wychodzi za mąż.

Fabula tych powieści arcy-skromna, żadna prawie, intrygi niema, ale jest buchająca zapachami i wyziewami życia, jest moc ogromnego talentu.

* * *

Na zakończenie wiadomość: w czerwcu r. b. otwiera się w Paryżu wielka wystawa pracy kobiecej, która obejmie wszelkie gałęzie czynności kobiecej, zapowiada się świetnie, a jaką będzie — opowiem.

K. D.-S.



Kronika działalności kobiecej.



— Zaszczytnie znana, wyższa szkoła żeńska p. Łucyi Żeleszkiewicz w Krakowie przeszła na własność i pod kierunek jej dawnej uczennicy, a później nauczycielki w jej zakładzie, panny Heleny Kaplińskiej, która przez 7 lat ostatnich była nauczycielką w pierwszorzędnym zakładzie naukowym p. Jadwigi Sikorskiej w Warszawie.

Z żalem żegnana zarówno przez przełożoną, jak i przez uczennice, p. Kaplińska przybyła do Krakowa, by stanąć na czele zakładu wychowawczego, który trwałem i ogólnem cieszył się uznaniem. Zaczyna kierunek, jaki zawsze odznaczał pensjonat p. Żeleszkiewiczowej, zostanie nadal utrzymany. Poczyniono jedynie pewne ulepszenia higieniczne, ułatwione przez zaprowadzenie wodociągów miejskich i przez wynajęcie ogródka, w celu urządzania ćwiczeń gimnastycznych i zabaw na świeżem powietrzu. Kierunek naukowy zmierzać będzie ku programowi liceum żeńskiego, aby uczennicom, kończącym zakład, ułatwić wstęp na uniwersytet. Nie wątpimy, iż dawna pensja p. Żeleszkiewiczowej, pod nowym kierunkiem rozwijać się będzie dalej i cieszyć nie mniejszem niż dotychczas zaufaniem.

— W dniu 18-ym b. m. w mieszkaniu i pod przewodnictwem p. Magdaleny hrabiny Krasieńskiej, która przyjęła na siebie godność prezesa instytucji, odbyło się posiedzenie Towarzystwa Ochrony kobiet.

Dotychczas zajmowano się przede wszystkim sprawami organizacyj, wyjednanem u właściwej władzy zatwierdzenia wyborów i zbierania funduszy i członków.

Z inicjatywy ks. proboszcza Jana Siemca, w przyszłym miesiącu ma powstać zakład pod wezwaniem S-tej Anny, w wynajętym lokalu przy ulicy Oboźnej. Nowy zakład ma na celu dawać przytułek czasowy pracownikom igły, pozbawionym zajęcia, oraz przygotowywać je do zajęć w magazynach. Opiekunem zakładu będzie ks. Siemiec.

Działalność Towarzystwa zwróconą jest równocześnie w kierunku walki z zepsuciem moralnem. Zadaniem Towarzystwa Ochrony kobiet jest ułatwianie zbłąkanym dziewczętom powrotu na drogę uczciwą. W tej myśli umieszczono pięć dziewcząt w zakładzie S-tej Małgorzaty w Piasecznie, a to dzięki pomocy i współdziałaniu Senatorowej Rembielińskiej.

Za najpilniejszą sprawę uznano utworzenie schronisk tymczasowych dla kobiet młodych, pozbawionych opieki, przybywających do Warszawy za chlebem. Ponieważ atoli szczupłe fundusze Towarzystwa nie pozwalają na otwarcie zakładów własnych, zarząd zwrócił się

z prośbą o pomoc w tym względzie do innych instytucji, jako to: do schronienia dla nauczycielek, schronienia dla szwaczek (*homme suisse*), Towarzystwa opieki nad francuskami, schronienia dla sług i zakładu S-tej Jadwigi. W zakładach tych mają być przyjmowane kandydatki, przez Towarzystwo Ochrony polecane, na warunkach przez Tow. umówionych. Po uzyskaniu przychylniej odpowiedzi, zarząd zajmie się wydrukowaniem odpowiedniego zawiadomienia, które wywieszone zostanie w początkach, na statkach, i w ogóle wszędzie, gdzie kobiety samotne, szukające pracy udawać się mogą. Towarzystwo zajmie się nadto organizacją dyżurów, wyznaczonych swoim członkiem, na wszystkich dworcach kolejowych, celem udzielania informacji przyjezdnym kobietom i dziewczętom.

Dalsze plany obejmowały otwarcie sal rozrywek i zajęć dobrowolnych.

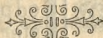
Biuro Towarzystwa mieści się w lokalu Pogotowia, gdzie przyjmowane są zapisy na członków od godz. 3½ do 4½.

— W Ameryce otworzyło się dla kobiet nowe pole działalności. Już w kilku wielkich zakładach przemysłowo-fabrycznych otrzymały kobiety stanowiska tak zwanych „socyjalnych” sekretarek. Obowiązkiem takiej sekretarki jest ściśle, sumienne baczenie na potrzeby pracujących, wysłuchiwanie ich żądań i zażaleń, oraz rozstrzyganie tychże w sposób sprawiedliwy. Właściciel fabryki bywa zazwyczaj ostatnią instancją, występującą w podobnych kwestiach. Sekretarka zważać też winna na warunki higieniczne, w jakich się znajdują powierzeni jej opiece robotnicy. Czy izby nie są przeludnione, czy są dobrze przewietrzane i t. p.

Sekretarka zarządza funduszem zapomogi, od niej też zależy udzielanie urlopów. Wie ona dokładnie, gdzie potrzebujący odpoczynku, wytechnienia lub kuracyi, znajdują odpowiednie warunki i pomieszczenie, przez Goście w dostarczaniu im tychże. Ma ona pieczę nad klubem robotników, ich czytelnią, biblioteką i innemi dostarczaniem im przyjemnościami.

Jak widzimy więc, stanowisko „socyjalnej” sekretarki wymaga wprawdzie nadzwyczajnej pracowitości i energii, dostarcza jednak szerokiego pola czynienia dobrze i wpływania umoralniająco na liczne rzesze pracujących.

Z. S.



ODPOWIEDZI.

— Pani W. Żeleńskiej w Krakowie. — Wystawa, urządzona przez „Fédération féministe” jest międzynarodową. Nosi nazwę: „Exposition interna-

tionale des arts et métiers féminins,” i wszelkie obce okazy są przyjmowane z wdzięcznością. Otwarcie miało miejsce 25-go b. m. Odpowiedź, otrzymaną z Paryża, pozwolę sobie przesłać pod adresem Szan. pani.

Z. S.



Na półkach księgarskich.



— E. Rigaux: **Mleczarstwo. wyrób masła i serów.** Przełożył z francuskiego W. Kocent-Zieliński. Warszawa, nakład J. Fiszer, 16-o, str. 276, z 38 rysunkami.

Dzieło to znanem jest i wysoko cenionem we Francji, jako praktyczny podręcznik dla początkujących. Zaletą jego jest, iż opierając się na ściśle naukowych podstawach, w opracowaniu przedstawia się bardzo popularnie, co czyni je przystępnem nie tylko dla ludzi fachowych (dla których zresztą ta książeczka, szczupła w rozmiarze, nie jest dość wyczerpującą), ale i dla każdego praktycznego rolnika, a nawet dla pań, które u nas tak często przyjmują na siebie nadzór nad mleczarnią. Zaznaczyć można jedynie, że napisane dla Francuzów, uwzględnia głównie tameczne warunki, wielce różne od naszych — ujemną tę stronę zaznacza zresztą i tłumacz w przedmowie. Zbyt obszerną część zajmuje serownictwo, z opisem kilkudziesięciu gatunków serów, zupełnie u nas nie wyrabianych. Całość jest bardzo praktycznie obmyślona, a przekład zupełnie poprawny.

— Alexander Smaczniński: **Nowelle.** 1901, str. 287.

Książka ta zawiera dziesięć nowel, z których lepsze: „Szkoła a życie,” „Jeden z nieznanych,” „Spokojna,” „Jeden z galeryi Harpagonów.” Wydanie staranne, druk i papier ładne.



OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał przyszły.

Treść numeru:

Od redakcyi. — Przyczyny i skutki: IV, przez Wandę Grot-Bęczkowską (Korotyńska). — Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Głos serca, fantazyja, przez Wandę Krasuską. — Sentymentalizm w wychowaniu, przez X. — Luta, szkic do powieści, przez Gustawę Toporczankę (dokończenie). — Walka ze zbrodnią, odczyt Alexandra Mogilnickiego (dokończenie). — Nowy zawód dla kobiet, przez E. Żm. — Z listów do „Bluszczu”: przez K. Daniłowicza-Strzelbickiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Na półkach księgarskich. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz siódmy powieści R. Monlaur'a p. t. „Promień,” w przekładzie M. ...t.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 48). — Pogadanki gospodarskie. — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów

Na sezon wiosenny.

APARATY FOTOGRAFICZNE MOMENTALNE i PODRÓŻNE w wielkim wyborze.

P. LEBIEDZIŃSKI Warszawa, Krak.-Przedm. 65, Marszałkowska 99.

„ZORZA”

Pracownia Haftów Stylowych ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

2 WARSZAWA, CHMIELNA № 44.

Pensja żeńska prywatna

ANTONINY WALICKIEJ

ul. Krucza № 44, róg Nowogrodzkiej,

otworzona zostanie z początkiem roku szkolnego 1901 — 3. Adres tymczasowy: Sienna 20, od 4-ej do 5-ej po południu.

Album Sztuki Polskiej Cena w oprawie Rb. 12.

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien

„ROMANA”

Warszawa, Erywańska 14.

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje pateuta cechowe). Wykonuje, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.

Dezynfekcja i czyszczenie pierzy, włosów materacowych.

Ubrania po chorych etc. Marszałkowska 33.

KRYNICA

dom „POD WAWELEM” na wzgórzu, naprzeciw łązek borowinowych. Pokoje umeblowane z pościelą, usługą i całodziennym utrzymaniem.

Żeleszkiewicz i Kaczkowska.

Całun Jezusa Chrystusa

Studyum naukowe Pawła Vignon Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogocennej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony 19-ma ilustracjami, odbitymi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSSTUSA.

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

CENA kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz” Ś-to Krzyżka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBUR

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**

Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 i egzaminy dla nowowstępujących od d. 15 maja.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 maja.

HERMAN & GROSSMAN



Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Pianino — „CROWN” 15

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.

OBICIA

PAPIEROWE

oraz odnawianie lokali, TANIO!

STEFAN LOBER

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

Egzystująca od 1882 roku

PRACOWNIA I MAGAZYN

Wyrobow Złotych, Srebrnych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy Trębackiej № 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, kolczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stołowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące.

Znaczny wybór rączek srebrnych do lasek.

CENY FABRYCZNE.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności i przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

BOROXYL

chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białosć.

Cena flakonu 60 k.

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

F. ZAMENHOFA

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu.

najlepszy przyjaciel żołądka.

Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysyła się na żądanie.



Smak jego jest wysmienity.

Compagnie du Vin Saint Raphaël

VALENCE, DROME, FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

PATENTOWANY ANGIELSKI PLATINUM ANTI-GORSET,

premijowany na wszystkich hygienicznych wystawach Europy.

GŁÓWNE JEGO ZALETY SĄ:

- Że nie posiada brykli i bocznych stałek, gdyż Platynowe zapięcie nowej konstrukcji w zupełności takowe zastępuje
- może być każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, gdyż Platinki mogą być momentalnie wyjęte i wstawiane bez prucia i szycia;
- Platinki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją, nie łamią się nigdy i dla tego każda dama może swobodnie takowy przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm;
- Materiał gorsetu jest mocny, kolor trwały, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości;
- Przez swój dobry fason i odpowiedni krój gorset nasz daje się do każdej figury zastosować;
- Osoby brzemiennie mogą dowoli gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiące zaś, nie rozpinając — karmić.
- Ażby zaznaczyć jaknajwiększy ogół z naszym udoskonalonym Platinum Anti-Gorsetem, naznaczyliśmy na takowy możliwie niskie ceny, a mianowicie: L. rub. 4.85, L. W. z walansjenką rub. 5.35. Cze-Czu-Cza rub. 5.50. C. C. z walansjenką rub. 5.95, Kanwowy 6.50. Batystowy 6.50. Tiulowy Ażur z walansjenką rub. 7. Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej.
- Anti-Gorset wysyła się na żądanie za zaliczeniem pocztowem z doliczeniem 50 kop. na przesyłkę i opakowanie, przy obstalunku zaś 3-ch sztuk, wysyłka uskutecznia się franco.

Do obstalunku należy dołączyć szerokość jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach talji i biodrach, mierząc onę połowę na stole werszkami, centymetrem, lub tasiemką, albo też donieść numer noszonego gorsetu.

Panie gorsetów nie używające, zechcą przysłać, mierząc wokół pod pachami: 1) pełny obwód w piersiach, 2) pełny obwód talji, 3) długość boku (od pachy) do talji. Gorsety wysłane pocztą zamieniamy, wysyłając je na swój koszt, jeżeli okażą się nieodpowiednimi.

Wyłączna sprzedaż na całe Cesarstwo i gub. Królestwa Polskiego w fabrycznym składzie „HYGIENA” w Warszawie, Bielańska № 18. — Adres dla listów: „Hygiena”, Warszawa. Patent 10-letni na całe Cesarstwo za № 1224.

